

Śmiertelny mur

Orły w koronie pod Reichstagem

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 04(412) KWIECIEŃ 2025

ostatnie dni wojny
Berlin zdobyty

Wilhelmshaven kapituluje
przed Polakami



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 04(412) kwiecień 2025



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.com/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Marian Jurczyk – legenda Solidarności

Rozmowa z dr. Michałem Siedziako z Instytutu Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Szczecińskiego, autorem książki „Marian Jurczyk (1935–2014). Biografia polityczna szczecińskiej legendy Solidarności”.

Katarzyna Krzykowska

8 Polskie „diabły” w niemieckiej bazie

Chcieli pomóc klęskę wrześniową, zrujnowaną Warszawę i wszystkie inne krzywdy wyrządzone przez niemieckich okupantów

Waldemar Kowalski

12 Orły w koronie pod Reichstagem

Koniec II wojny światowej przyniósł Polsce wyzwolenie od okrutnej i niszczącej okupacji niemieckiej, ale bez upragnionej wolności. Kraj znalazł się pod „butem i bagnetem” Armii Czerwonej i NKWD

Piotr Korczyński

16 Pani Anna, o którą upomnieli się stoczniovcy

Wyrzucenie z pracy Anny Walentynowicz, tuż przed jej przejściem na emeryturę, stało się powodem strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w sierpniu 1980 roku

Grzegorz Majchrzak

20 Leśnicy – ofiary zbrodni katyńskiej

Szacuje się, że nawet połowa przedwojennych leśników była zaangażowana w działania wojenne – zarówno na frontach, jak i w strukturach partyzanckich

Tomasz Skowronek

23 In memoriam Janusz Krupski

W piętnastą rocznicę katastrofy smoleńskiej odbyła się uroczystość przy tablicy pamiątkowej poświęconej śp. Januszowi Krupskiemu, kierownikowi UdSkIOR w latach 2006–2010

24 Śmiertelny mur

Przez 28 lat był symbolem podziału Niemiec i Europy. Na liście jego ofiar jest dwóch Polaków: Franciszek Piesik i Czesław Kukuczka

Filip Gańczak

28 „Każda z nas”

Powstają zdjęcia do międzynarodowej produkcji „Każda z nas” z Diane Kruger w roli głównej. Akcja filmu osadzona jest w realiach obozu koncentracyjnego Ravensbrück

Katarzyna Zientara-Majewski

29 Idol posadzony o kolaborację

Należał do tych nielicznych aktorów, których wszyscy Polacy chcieli oglądać, i to zarówno na scenie, jak i na ekranie. Widzowie w kinie czy kabarecie szukali wesołej, bezpretensjonalnej rozrywki

Mateusz Wyderka

Okładka: FOT. PAP

Szanowni Państwo!

W Państwa ręce oddajemy kolejne wydanie Biuletynu Historycznego „Kombatant”. Zróżnicowana treść kwietniowego numeru w pełni odzwierciedla czas licznych rocznicowych upamiętnień – zarówno tych, które już za nami, jak i tych, które dopiero przed nami. Artykuły zamieszczone w numerze podejmują niezwykle ciekawą i różnorodną tematykę, nierzadko pozostającą poza powszechną świadomością historyczną społeczeństwa.

Kwiecień upłynął pod znakiem obchodów 85. rocznicy Zbrodni Katyńskiej – tragedii, którą los nierozzerwalnie związał z pamięcią o ofiarach katastrofy smoleńskiej. Z tej okazji przywołujemy sylwetki dwóch osób, które 10 kwietnia 2010 roku wyruszyły z Okęcia jako członkowie polskiej delegacji udającej się na Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu. Pierwszą z nich jest Anna Walentynowicz – legenda Solidarności, symbol walki o demokrację i prawa człowieka, kobieta, „dla której stanęła” Stocznia Gdańska im. Lenina. Wspominamy również Janusza Krupskiego – działacza opozycji antykomunistycznej, brutalnie represjonowanego przez SB, a w latach 2006–2010 kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Interesującym uzupełnieniem tematyki katyńskiej jest artykuł poświęcony leśnikom II Rzeczypospolitej. Ich tragiczna ofiara przypomina, jak wiele środowisk polskich zostało dotkniętych tą zbrodnią – i jak wielką wyrwę spowodowała ona wśród polskich elit.

Rozpoczynający się maj również obfitować będzie w liczne obchody rocznicowe. Dla wielu Polaków to miesiąc szczególnie silnie związany z pamięcią o żołnierzach generała Władysława Andersa. Zbliżającą się 81. rocznicę bitwy o Monte Cassino – jak co roku – upamiętnimy podczas uroczystości państwowych na polskiej nekropolii w Cassino. Najpierw jednak oddamy hołd wszystkim polskim żołnierzom, którzy przez sześć długich lat toczyli walkę z hitlerowskimi Niemcami. 80 lat temu kapitulacja III Rzeszy przyniosła światu upragniony oddech, a zaangażowani w działania zbrojne Polacy mogli z dumą spojrzeć na należycie spełniony obowiązek – niezależnie od tego, czy służyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, czy w Wojsku Polskim walczącym u boku Sowietów. Państwa uwadze polecamy dwa następujące po sobie artykuły, które przybliżają ostatnie walki z maja 1945 roku – zarówno z perspektywy pancerniaków generała Maczka, jak i żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Serdecznie zapraszam do lektury!



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



Marian Jurczyk

legenda Solidarności



dr Michał Siedziako FOT. P. MIEDZIŃSKI

Losy Mariana Jurczyka to odbicie losów i kondycji większości polskiego społeczeństwa drugiej połowy XX w. i początku XXI w. Nie zawsze jest ono tak piękne, jak może chcielibyśmy, żeby było, ale jest prawdziwe. Jest wielowymiarowe, ma dobre i złe elementy – ocenił w rozmowie z „Kombatantem” dr Michał Siedziako z Instytutu Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Szczecińskiego, autor książki „Marian Jurczyk (1935–2014). Biografia polityczna szczecińskiej legendy Solidarności”.

Marian Jurczyk był postacią skomplikowaną, z pięknymi i pozytywnymi, ale też mniej chlubnymi kartami w życiorysie. Co było momentem formacyjnym w jego życiu?

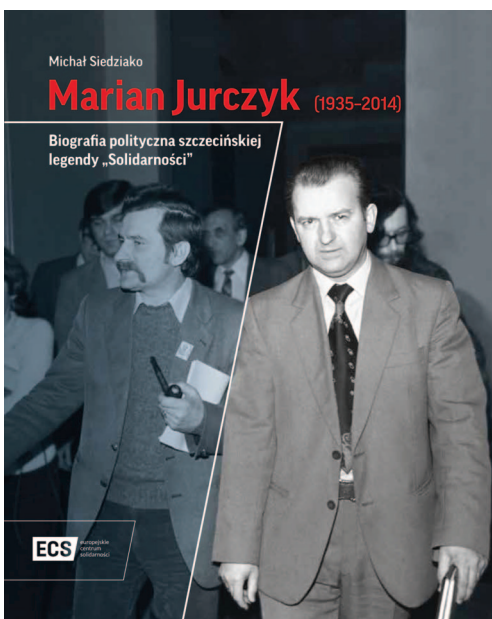
Trudno wskazać jeden, konkretny moment. Na formację Jurczyka wpłynęło miejsce, z którego się wywodził, dom rodzinny, wychowanie. Urodził się w Karczewicach pod Częstochową. Doświadczył wiejskiej biedy, w jego pa-

mięci utkwilo kilka drastycznych wydarzeń z udziałem Niemców z czasów wojny. Później sam przyznawał, że niechęć i obawy przed Niemcami, którym dawał wyraz jako polityk już w latach 90., mogły po części wynikać właśnie z tych jego dziecięcych doświadczeń. Jako nastoletni chłopak z uwagi na sytuację materialną rodziny musiał podjąć pracę zarobkową, nie miał czasu na edukację.

W poszukiwaniu lepszego życia wyjechał na tzw. Ziemię Odzyskane – do Szczecina. Pracę w Stoczni im. Adolfa Warskiego rozpoczął jako zaledwie dwudziestolatek. To właśnie stocznia kształtowała jego postawę przez kolejne dekady. Był związany z nią niemal przez całe swoje życie zawodowe, pracując m.in. jako niewykwalifikowany robotnik, operator dźwigu, spawacz i magazynier. Znał zakład od

◀ Marian Jurczyk i Stanisław Wądołowski w siedzibie regionalnych władz Solidarności Pomorza Zachodniego, 1980–1981 r.
FOT. JAROSŁAW KACZOROWSKI

podszewki, był zżyty z załogą – i sam stanął jej modelowego przedstawiciela. W wymiarze politycznym – i tu możemy już mówić o konkretnych momentach formacyjnych – trudne do przecenienia znaczenie w życiu Jurczyka miał udział w wydarzeniach Grudnia '70, Stycznia '71 oraz Sierpnia '80 w Szczecinie.



Jaką rolę odegrał podczas wydarzeń grudniowych 1970 roku i styczniowych 1971 roku w Szczecinie?

Podczas strajku grudniowego nie odgrywał jeszcze większej roli, ale widział z bliska dramatyczne wydarzenia na ulicach miasta 17 grudnia, kiedy spłonął KW PZPR, a „władza ludowa” strzelała do robotników. Został wybrany do „trójki strajkowej” na swoim wydziale w stoczni. Miesiąc później, kiedy stoczniovcy wznowili strajk, znalazł się już w Komitecie Strajkowym, był odpowiedzialny m.in. za straż robotniczą. Uczestniczył w słynnej de-

bacie robotników z Edwardem Gierkiem, zabierał głos w imieniu załogi swojego wydziału. Udział w tych wydarzeniach był swoistą inicjacją polityczną Jurczyka.

Wiadomo, że przez kilkanaście miesięcy był tajnym współpracownikiem komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. W jakich okolicznościach do tego doszło?

SB poszukiwała osób zaangażowanych w kolportaż „Szerszenia” – antyreżimowego pisma wydawanego w Paryżu przez Edmunda Bałukę, lidera protestów Grudnia '70 i Stycznia '71 w Szczecinie. Pismo to było przemycane do Polski i trafiało m.in. do stoczniovców ze Stoczni im. Warskiego, gdzie wciąż działało środowisko tzw. pogrudniowych aktywistów, do którego należał również Marian Jurczyk. Ponieważ jedna z osób, o których SB wiedziała, że miały kontakt z „Szerszeniem”, utrzymywała relacje z Jurczykiem, także on znalazł się w kręgu zainteresowania służb. Po kilku rozmowach wstępnych, w czerwcu 1977 roku, podpisał zobowiązanie do współpracy i przyjął pseudonim „Święty”.

W jaki sposób Jurczykowi udało wycofać się ze współpracy?

Po pierwsze trzeba tutaj odnotować, że kiedy funkcjonariusze próbowali aktywniej wykorzystać TW „Świętego”, zlecając mu zadanie, które miało być elementem zaplanowanej przez nich „gry operacyjnej” – nie wykonał go w oczekiwany przez nich sposób. Trudno przy tym stwierdzić, czy był na tyle nieporadny, czy też umyślnie nie chciał wykonywać prawidłowo poleceń SB. Od pewnego momentu stał się natomiast wyraźnie niechętny dalszym spotkaniom z kapitanem Dynakiem – swoim oficerem prowadzącym. Został też przez niego przyłapany na kłamstwie w istotnej sprawie, która interesowała SB. Jednocześnie służby miały w tym samym środowisku,

w którym miał być wykorzystywany „Święty”, inne osobowe źródło informacji – sprawnego agenta, który chętnie dostarczał informacji na tematy interesujące policję polityczną. W tej sytuacji zrezygnowano z dalszego „urabiania” Jurczyka. Po raz ostatni Dynak spotkał się z nim pod koniec listopada 1979 roku. Później jeszcze próbował telefonicznie odnowić kontakty z Jurczykiem, kiedy stanął on czele strajków Sierpnia '80 w Szczecinie. Wówczas już spotkał się ze stanowczą odmową.

Wobec Jurczyka pojawiają się także zarzuty o antysemityzm, wartościowanie pewnych grup społecznych...

Niestety, na przestrzeni lat swojej aktywności publicznej Jurczyk wielokrotnie dawał wyraz antysemickim uprzedzeniom. Najbardziej znane jest tu jego wystąpienie z listopada 1981 roku w Trzebiatowie, kiedy mówił m.in. o „Żydach, zdrajcach narodu polskiego”. Z kolei w latach 90. głośnym echem odbiło się jego stwierdzenie, że „Polską rządzi mniejszość narodowa”. Wiadomo było, że znów mówi o Żydach, choć indagowany w wywiadzie telewizyjnym przez Bogdana Rymanowskiego nie chciał tego przyznać wprost. Udało mi się ustalić, że jeszcze w okresie PRL tego rodzaju poglądy Jurczykowi suflowano, także poprzez agenturę SB w jego otoczeniu. Tego rodzaju „ziarno” musiało jednak padać na podatny grunt, to znaczy w Jurczyku pewne stereotypy i uprzedzenia były po prostu zakorzenione...

Dlaczego w 1981 roku zdecydował się stanąć do walki o fotel przewodniczącego związku jako kontrkandydat Lecha Wałęsy? Co sprawiło, że zyskał poparcie blisko 25 proc. delegatów na I Krajowym Zjeździe Solidarności?

Do kandydowania namówili go ludzie z jego otoczenia i wcale nie chodziło o to, żeby wygrał z Wałęsą. Plan był

taki, aby pokazać Wałęsę, którego działania odbierano wówczas jako „wywyższanie się”, odgradzanie od szeregowych członków związku gronem doradców, że w Solidarności są także inni liderzy, z którymi powinien się liczyć. Mówiąc kolokwialnie, szło o to, żeby przewodniczącemu związku nieco „utrząść nosa”. W tym zakresie planów się powiódł, choć nie wpłynęło to wcale na zmianę postawy Wałęsy. Jeśli natomiast chodzi o samego Jurczyka, to o ile początkowo nie chciał się zgodzić na kandydowanie, to w pewnym momencie uwierzył, że może i powinien zastąpić Wałęsę. Rzutowało to na relacje obu liderów i miało długofalowe konsekwencje.

W 1982 roku jego syn i synowa zginęli tragicznie, wyskakując z okien kamienic w Szczecinie. Jurczyk podejrzewał, że w śmierć zamieszana była SB. Pogrzeb stał się okazją do wielkiej antyrządowej demonstracji, podczas której doszło do walk z ZOMO. W sierpniu 2007 roku IPN umorzył śledztwo w tej sprawie. W jaki sposób to wydarzenie wpłynęło na Jurczyka?

Śmierć dziecka zawsze jest dla rodzica ogromną tragedią i nie inaczej było w przypadku bohatera mojej książki. Mówiąc o tej sytuacji, trzeba mieć też na uwadze towarzyszące jej uwarunkowania. Adam i Dorota Jurczykowie zginęli podczas stanu wojennego, kiedy sam Jurczyk był więziony jako jeden z czołowych „wrogów ustroju”. Domysły, że do ich śmierci mogły przyczynić się osoby trzecie nasuwały się same, choć później nie potwierdziło ich ani niezależne dochodzenie działaczy szczecińskiego podziemia jeszcze w latach 80., ani postępowanie prowadzone już po 2000 roku przez prokuratorów IPN. Trudno powiedzieć, czy sam Jurczyk rzeczywiście wierzył, że „jego dzieci zamordowała SB” – jak twierdził. Nawet jeśli tak było, nie musiał wykorzystywać tej tragedii



w swojej działalności publicznej. A jednak czynił to wielokrotnie, przywołując śmierć syna i synowej zarówno podczas swojego procesu lustracyjnego, jak i przy wielu innych okazjach...

Z jakiego powodu był przeciwnikiem zaangażowania Solidarności w obrady Okrągłego Stołu?

W 1989 roku Jurczyk był już poza głównym nurtem Solidarności, któremu przewodził Wałęsa. Dwa lata wcześniej zaangażował się w działalność Grupy Roboczej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” – inicjatywy domagającej się od Wałęsy zwołania władz krajowych związku w składzie wybranym w 1981 roku. Choć sam postulat był trudny do zrealizowania, choćby dlatego, że wielu dawnych liderów znajdowało się już poza krajem, Wałęsa wyraźnie nie był zainteresowany jego realizacją. Stawiał na

działaczy, których sam dobiebrał do współpracy – w Szczecinie nie był to Jurczyk, lecz Andrzej Milczanowski.

Jurczyk nie był zatem przeciwnikiem Okrągłego Stołu jako idei, lecz przeciwnikiem Wałęsy i jego ówczesnej polityki. Sprzeciwiał się co prawda warunkom ponownej legalizacji Solidarności, wynegocjowanym przy Okrągłym Stole, ale stawiam tezę, że gdyby Wałęsa utrzymał go przy sobie jako regionalnego lidera, Jurczyk zaakceptowałby porozumienie i kontynuował działalność na jego zasadach. To jednak tylko dywagacje – historia potoczyła się inaczej. Warto jednak przypomnieć, że środowisko Jurczyka nie odrzuciło całkowicie rezultatów Okrągłego Stołu – wystawiło własnych kandydatów w czerwcowych wyborach „kontraktowych” w 1989 roku. Jak wszyscy spoza „drużyny Wałęsy”, nie odnieśli oni jednak żadnego sukcesu.



Konferencja prasowa po wpisaniu NSZZ „Solidarność” do rejestru związków zawodowych. Przy stole Marian Jurczyk (1L), doradca Związku Tadeusz Mazowiecki (2L), przewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej Lech Wałęsa (3L), 10 listopada 1980 r. FOT. PAP



Stocznijowcy i członkowie rządu opuszczają teren zakładu po 13 dniach strajku i podpisaniu porozumienia, 30 sierpnia 1980 r. FOT. PAP



Marian Jurczyk, przewodniczący MKZ NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorze Zachodnie 6 października 1981 r. (z lewej) i prezydent Szczecina, 2003 r. (z prawej) FOT. PAP (2)



Jak Jurczyk odnalazł się w demokratycznej rzeczywistości III RP?

Można by rzec: średnio. Wykluczony z procesu przemian, stał się rzecznikiem ludzi poszkodowanych przez transformację. Choć warunki polityczne zasadniczo się zmieniły, a wielu

– nowego związku zawodowego, którego powstanie przypieczętowało rozłam z Solidarnością kierowaną przez Lecha Wałęsę. Jurczyk pragnął jednak odegrać większą rolę – miał wyraźne inklinacje do zaangażowania politycznego sensu stricto. Do polityki udało mu się wejść dopiero w 1997 roku, kiedy – jako niezależny kandydat „spoza układów”, jak sam się przedstawiał – zdobył mandat senatora. W kolej-

nych latach dwukrotnie pełnił funkcję prezydenta Szczecina. Był pierwszym prezydentem miasta wybranym w wyborach bezpośrednich w 2002 roku. Także ten etap jego działalności szeroko omawiam w książce.

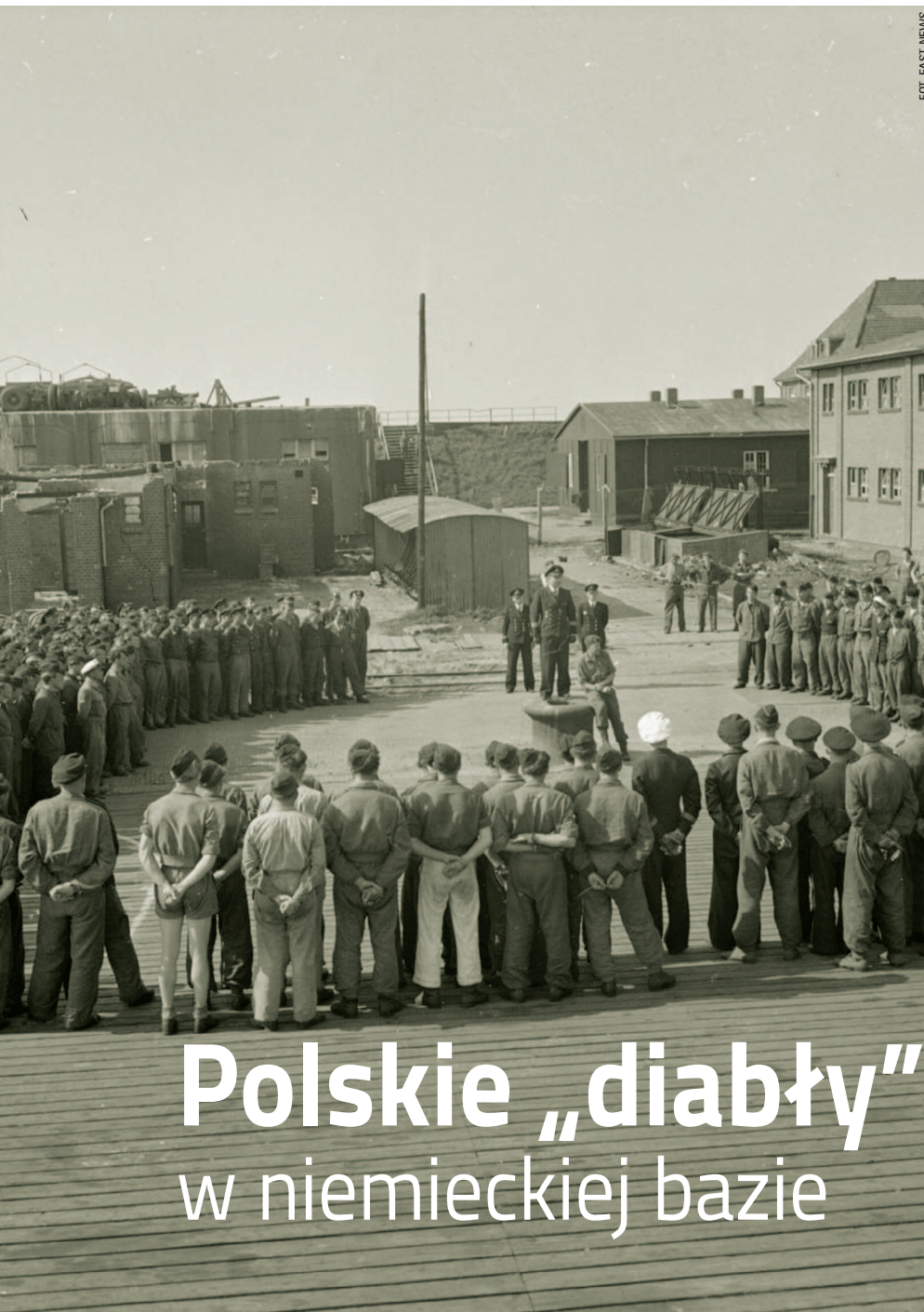
„Nie byłoby gdańskiego Sierpnia 80 roku, gdyby nie było strajku w Szczecinie. Nie byłoby Lecha Wałęsy, gdyby nie było Mariana Jurczyka. Nie byłoby Solidarności w Warszawie, Otwocku, Bydgoszczy, gdyby nie wiał wiatr wolności z Pomorza Zachodniego” – mówił Jan Rulewski na pogrzebie Jurczyka. Zgadza się pan z tymi słowami?

Nie sposób się z nimi nie zgodzić. Trzeba jednak powiedzieć, że ów wiatr wiał w obie strony. Bo tak jak nie byłoby Wałęsy bez Jurczyka i Solidarności w Otwocku bez Solidarności w Szczecinie, tak i nie byłoby Jurczyka gdyby nie Wałęsa, a Otwock czy inne mniejsze miejscowości solidarnościowego ruchu podbudowywały pozycję większych ośrodków, jak Gdańsk czy Szczecin. Zawsze podkreślałam, że siłą Solidarności było to, że miała ona powszechny charakter, wspólne działanie różnych ludzi i międzyludzka solidarność przez małe „s”.

Czy można powiedzieć, że życiorys Jurczyka skupia jak w soczewce losy Polaków drugiej połowy XX w. i początku XXI w. ?

Tak, bez wątplenia. Losy Jurczyka to odbicie losów i kondycji większości polskiego społeczeństwa w rzeczonym okresie. Nie zawsze jest ono tak piękne, jak może chcielibyśmy, żeby było, ale jest prawdziwe. Jest wielowymiarowe, ma dobre i złe elementy. Staralem się je uchwycić bez przejaśkrawień. Wystarczająco „jaskrawy” bywał na różnych etapach swojej aktywności sam Jurczyk.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



Polskie „diabły” w niemieckiej bazie

TEKST | Waldemar Kowalski

Chcieli pomścić klęskę wrześniową, zrujnowaną Warszawę i wszystkie inne krzywdy doznane z rąk niemieckich okupantów. Gdy 80 lat temu polscy pancerniacy przekraczali granicę z III Rzeszą, nie kryli żądzy odwetu. Choć z Niemcami mieli „rachunki” do wyrównania, bili się twardo, lecz po rycersku – zgodnie z rozkazem swego dowódcy.

Żołnierze 1. Dywizji Pancерnej mieli za sobą setki przebytych kilometrów, dziesiątki bitew i miesiące spędzone pod bronią. Pomimo wszystkich przeciwności walczyli do samego końca wojny rozpętanej przez Niemców. Symbolicznym zwieńczeniem ich szlaku bojowego było zdobycie bazy Kriegsmarine w Wilhelmshaven i zatknięcie polskiej flagi na miejscowym ratuszu.

Niemcy, czyli wróg nr 1

Zaledwie miesiąc wcześniej, 8 kwietnia 1945 roku, dywizja gen. Stanisława Maczka – przydzielona organizacyjnie do 2. Korpusu Kanadyjskiego – weszła na terytorium III Rzeszy, przekraczając granicę między rzekami Emśą i Wezerą.

Żołnierz z naszywką „Poland” na ramieniu wkroczył właśnie na ziemię znienawidzonego wroga. – *Niemcy nie przestali być wrogiem nr 1. Czyż dlatego, że nowy wróg – na odmianną „wróg alian” zagroził od wschodu – mamy zapomnieć o wrześniu 1939 roku, zburzonej Warszawie, o Oświęcimiu o Dachau?* – pytał gen. Maczek, zagrzewając swych podkomendnych do dalszej walki.

W tym czasie Polska, opanowana przez Armię Czerwoną, znajdowała się już pod nową, tym razem sowiecką okupacją. Podkomendni gen. Maczka dobrze znali zdradzieckie ustalenia z Jałty, gdzie alianci oddali Stalinowi znaczną część przedwojennej Rzeczypospolitej. Wówczas jednak, wiosną 1945 roku, nic nie mogło zburzyć polskiej satysfakcji ze zdobywania, kilometr po kilometr, niemieckiego terytorium. Żołnierze 1. Dywizji Pancерnej pamiętali przy tym rozkaz swego dowódcy i nie zamierzali mścić się na pokonanych.

Topiliśmy się w błocie...

Już cztery dni po przekroczeniu granicy Polacy dokonali pierwszego spektakularnego sukcesu, wyzwalając obóz

jeniecki w Oberlangen (Stalag VI C). Niemcy przetrzymywali w nim ponad 1700 bohaterów Armii Krajowej, uczestników Powstania Warszawskiego. Dzień później „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” informował: *Polacy weszli do akcji na wszystkich frontach, 2. Korpus rozpoczął ofensywę, Dywizja Pancerna idzie naprzód, Amerykanie za Łabą – o 65 mil od Berlina. Żołnierz polski na ziemi niemieckiej.*

Pancerny rajd w kierunku niemieckiego wybrzeża napotykał jednak na wiele przeszkód. – *Nie byłoby przesadą określić, że topiliśmy się w błocie, szczególnie czotgi i działa samobieżne, zrywające gąsienicami cienką warstwę torfu i zagłębiające się w ciemną maź błota. Rzeka Leda okazała się rzeką bardziej bagnistą niż jakakolwiek na naszym Polesiu, a teren przed i za rzeką tak podmokły i poprzerzynany kanałami, że już nie tylko mosty,*

ców, nacierające z dwóch kierunków. Wśród zdobytych po drodze miejscowości znalazły się m.in.: Aschendorf, Tunxdorf, Papenburg, Kollinghorst oraz Posthausen. – W miarę zbliżania się dywizji do Wilhelmshaven obrona niemiecka, złożona z mieszanych oddziałów marynarki wojennej, formacji spadochronowych i SS, staje się coraz twardszą – relacjonował dowódca dywizji.

„Czarne diabły” w natarciu

Jeszcze niedawno, na wyzwanych przez siebie terenach Belgii i Holandii, polscy żołnierze byli witali jak bohaterowie, podejmowani przez cywilów w ich domach oraz obdarowywani kwiatami. Teraz – na terytorium Niemiec – sytuacja uległa diametralnej zmianie. – *Bił w oczy widok radości i wesela wylegającej na ulice ludności holenderskiej – wobec pustki zam-*

Tak się nas bali, że chowali się po kątach, po lasach, w bunkrach przez siebie wykopanych. W miejscowości jednej żeśmy stacjonowali trzy dni i nikogo nie było. Dopiero po trzech dniach jakiś staruszek się odważył – wspominał jeden z pancerniaków, Roman Lipiński.

Ludność niemiecka – wyjaśniał na łamach „Polski Walczącej” Maciej Feldhuzen (jeden z pierwszych polskich dziennikarzy, którzy od zachodu przekroczyli granicę III Rzeszy) – dzieliła się na trzy grupy: Są jeszcze nieliczni, którzy z uporem starają się wkraść w nasze łaski. Uśmiechają się, salutują, pozdrawiają, schodzą z drogi. Były już wypadki wyrażania „radości”, że to właśnie „rycerscy Polacy” a nie „obcy i nieznanzi Kanadyjczycy”. Druga grupa też schodzi z drogi, ale przyuczony dobrych manier są inne. To grupa zastraszonej, żyjącej w ciągłej obawie przed zemstą „krwiożerczych, mściwych, dzikich Polaków”. Ci schodzą z chodnika na widok munduru zgodnie zresztą z „ich” regulaminem, ci stają nieustannie na baczność, wykonują na skinienie każdy rozkaz. Są grzeczni, poprawni, posłuszni, ale oczy ich ciągle biegają rozpaczliwie, węsząc niebezpieczeństwo. Trzecia grupa jest najliczniejsza: Niemcy, którzy nas nie widzą. Idą jak cienie, nie odwracając wzroku. Nie kłaniają się, nie zwracają żadnej uwagi, nie reagują. To nie jest pycha, to nie jest żądza jakiegoś odwetu, duszona pod maską obojętności. To jest całkiem po prostu odrętwienie, apatia, zmęczenie, rozpacz. To nie przedstawiciele pokonanego narodu, który poniósł największą klęskę na przestrzeni historii – to są ludzie, którzy stracili rodziny, dach nad głową, zajęcie. Którzy nie mają co jeść i nie wiedzą, co ich czeka.

„Zachowawczy” stosunek ludności niemieckiej do Polaków nie może dziwić, skoro propaganda III Rzeszy przedstawiała aliantów w jak najgorszym świetle. Szczególnie zła sława



Kapitulację przyjął płk Antoni Grudziński (w środku), zastępca dowódcy 10. Brygady Kawalerii Pancernej wchodzącej w skład 1. Dywizji Pancernej, 4. z prawej dowódca 2. Pułku Pancernego mjr Michał Gutowski, 1. z lewej por. Janusz Wincenty Barbarski FOT. OŚRODEK KARTA

ale drogi i dojścia trzeba było budować, by iść naprzód – pisał gen. Maczek.

Trudne warunki terenowe i kapryśna o tej porze roku pogoda mogły opóźnić, ale nie zatrzymać marszu Polaków do Wilhelmshaven. Trzon polskich sił stanowiły 10. Brygada Kawalerii Pancernej oraz 3. Brygada Strzel-

kniętych okiennic i przywartych wrót, lub przemykających się Niemców z bladymi twarzami – odnotował gen. Maczek.

– *Jak Niemcy dowiedzieli się, że idzie polska dywizja, to wszystko uciekało. Tam, gdzie myśmy przejeżdżali przez wioski, to puste były. Nigdzie nie było żadnego cywila. (...)*

przylgnęła do dywizji gen. Maczka, nazywanej „czarną” lub „diabelską”. Rozgłaszano, że Polacy brutalnie mszczą się na Niemcach za wywołanie wojny i doznane krzywdy, zabijając m.in. cywilów. Nie miało to oczywiście żadnego odzwierciedlenia w faktach.

Ostatnia walka

30 kwietnia całą Rzeszą wstrząsnęła wiadomość o samobójstwie Adolfa Hitlera w oblężonym Berlinie. Nawet to jednak nie złamało oporu Niemców, którzy nie zamierzali oddawać Wilhelmshaven bez walki. 3 maja Polacy zajęli obszar na północ od Bad Zwischenahn, wychodząc na dogodną pozycję do ataku na niemiecką bazę Kriegsmarine. Podjęte następnego dnia pierwsze próby przełamania wrogich umocnień nie powiodły się, dlatego wsparto je ogniem artylerii. Wieczorem 4 maja do polskiego dowództwa nadeszła informacja o kapitulacji wojsk niemieckich w pasie działania brytyjskiej 21. Grupy Armii. Akt, podpisany przez admirała Hansa-Georga von Friedeburga, nakazywał przerwanie ognia nazajutrz, 5 maja, o godzinie 8.00.

Polacy walczyli tak długo, jak tylko się dało, kończąc ostrzał wrogich pozycji dopiero... na minutę przed wejściem w życie wspomnianych ustaleń. Finałową wymianę ognia tak zapamiętał Marian Słowiński: *Gdzieś między 6.00 a 7.00 rano odkręcam wieżę, lufę w kierunku na Wilhelmshaven, bo stoimy niedaleko, i całą amunicję sypię w tamtym kierunku. Wszystkie działa, nie tylko czotgowe, wszystkie walki w kierunku na Wilhelmshaven. Nawalnica straszna. Wyżywamy się. Godzina - nie przesadzę chyba, ale tak 7.50, z minutami - ucichło. Wszystko wystrzelałem, dwa naboje tylko zostawiłem. Ósma rano, koniec wojny.*

Chwilę później - zgodnie z zawartym porozumieniem - strzały i wybuchy ucichły. Strategicznie ważny port

nad zatoką Jade, będący największą bazą niemieckiej marynarki wojennej, skapitulował! Po 283 dniach walk i ok. 1800 przebytych kilometrach, szlak bojowy pancerniaków dobiegł końca. 6 maja całe miasto znajdowało się już w polskich rękach.

Tylko w Wilhelmshaven żołnierze gen. Maczka wzięli do niewoli prawie 34 tys. Niemców. Łącznie - czytamy we wspomnieniach dowódcy - Polakom poddały się: dowództwa twierdzy i bazy marynarki wojennej, floty „Ostfrisland”, 10. dywizji piechoty i ośmiu pułków piechoty oraz artylerii. Ponadto zdobyto na wrogu ogromne ilości sprzętu bojowego - w tym m.in. 3 krążowniki i 18 okrętów podwodnych, a także zapasy amunicji oraz żywności.

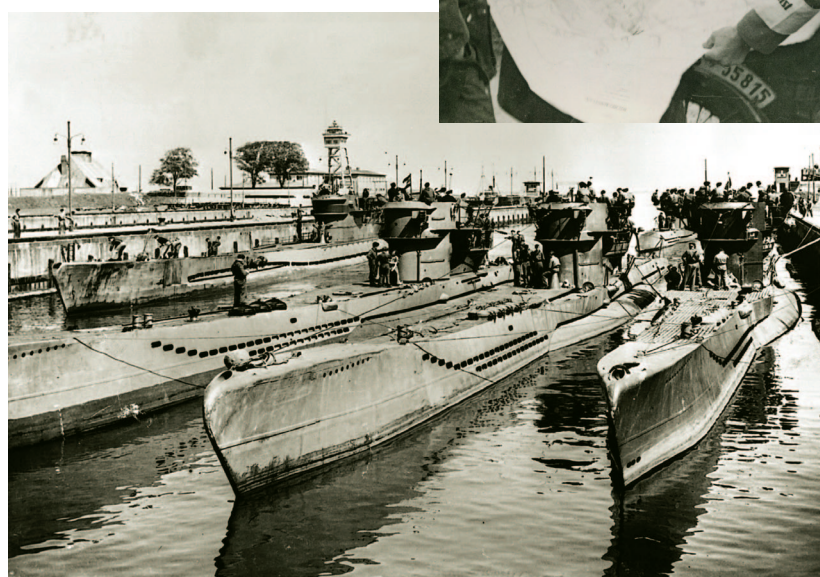
Korespondent Maciej Świącicki tak opisywał widok zastany po zajęciu miasta: *Wilhelmshaven stanowi przykład dobrej, przyzwoitej roboty bombardowców. Wojna inwazyjna, lądowa nie zdążyła tu dojść, zajrzała tylko oczami zwycięzców, przyjmujących kapitulację. Bombowce jednak nalata-*

W imieniu zwyciężczych wojsk sojuszniczych oddziały 1. Dywizji Polskiej pod moim dowództwem obejmują władzę zwierzchnią nad obszarem twierdzy Wilhelmshaven - powiedział płk Antoni Grudziński odbierając kapitulację
FOT. OŚRODEK KARTA

Niemieckie okręty podwodne zdobyte w bazie Wilhelmshaven FOT. EAST NEWS

ły się solidnie. Jedynymi fragmentami miejscowej architektury, które zdołały ocalać, są wysokie schrony.

Cała zatoka - dodawał - usiana była wrakami zatopionych niemieckich okrętów. - *Przedwcześnie jest dziś oceniać ilość niemieckich jednostek morskich, które zatopiono w zatoce portu Wilhelmshaven. W każdym razie była to duża część marynarki Rzeszy. Z dna na powierzchnię wody wylażą gęsto, czasem jedno po drugim wierzchołki kominów lub metalowe wiązania okrętów. Przy moło wyzierają ściany kadłubów. Bomby wbiły w wodę dźwigi, żurawie, urządzenia portowe. Ostra fala, podrzucając naszą motorówkę, podrzuca również kłbowisko desek, resztki skrzyń, pokrywy od czegoś, co już nie istnieje i niezliczone masy złomu z rzeczy, które już nigdy nie wrócą do czynnego życia. Duże cmentarzysko okrętów.*



Zamarty port – relacjonował autor tekstu w „Polsce Walczącej”.

Kapitulację Niemców odebrał płk Antoni Grudziński. – *W imieniu zwycięskich wojsk sojuszniczych oddziały 1. Dywizji Polskiej pod moim dowództwem obejmują władzę zwierzchnią nad obszarem twierdzy Wilhelmshaven. Wszystko od tej chwili przechodzi pod moje rozkazy* – obwieścił polski oficer.

Generał Maczek przebywał w tym czasie w Bad Zwischenahn, gdzie – w kwaterze dowodzenia 2. Korpusu – był świadkiem „rozmów” z niemiecką delegacją. Jak dodał, dowódcom Wehrmachtu po prostu przedstawiono warunki kapitulacji, aby nie pozwolić na jakąkolwiek dyskusję. – *Weszło sześciu oficerów niemieckich. Generał Erich von Straube, dowódca oddziałów armii między rzekami Ems i Wezerą, w towarzystwie lokalnego dowódcy marynarki wojennej, szefa sztabu i 3 dowódców odcinków wschodniej Fryzji. Weszli, ustawili się w rzędzie przed stołem, zasalutowali i stali na baczność. Jacyś inni niż ci brani na gorąco do niewoli, w pyle i kurzu bitwy, z emocjami bitwy niewygasłymi jeszcze na twarzy. Twarze ściągnięte i surowe, poza maską tą mogło się kryć wszystko i nic*” – relacjonował generał.

Polski dowódca spotkał się też ze swym bezpośrednim przełożonym – gen. Guy'em Simmondsem (dowódca 2. Korpusu), który powierzył żołnierzom 1. Dywizji Pancernej kontrolę nad rejonem Wilhelmshaven.

Wiwaty wśród gruzów

Niecałe dwa miesiące później, 19 maja 1945 roku, na ulicach zdobytego miasta słychać było radosne okrzyki w języku polskim. Wiwatowano na cześć Naczelnego Wodza gen. Władysława Andersa, który przybył z oficjalną wizytą do zdobywcy Wilhelmshaven. Chwila była doniosła – mijał właśnie rok od słynnego triumfu pod Monte

Cassino. Aby uczcić przyjazd niezwykłego gościa, zorganizowano m.in. paradę wojskową, która przeszła główną aleją, przyozdobioną polskimi flagami. Dla gen. Maczka był to moment wielce symboliczny, swoista klamra kończąca szlak bojowy jego żołnierzy. – *Zdyscyplinowana niemiecka ludność miasta dostała rozkaz szycia biało-czerwonych flag i dekoracji z orłami polskimi tak, jakby szyła flagi o barwach niemieckich ze swastyką na przyjęcie Hitlera. I gdy dnia 19 maja gen. Anders przyjmował raport oddziałów dywizji pancernej w Wilhelmshaven, kilometrami ciągnąca się główna aleja miasta mieniła się kolorami biało-czerwonych polskich flag na długich 8-metrowych masztach. Tym akordem kończy się epepeja Pierwszej Polskiej Dywizji Pancernej* – wspominał generał.

Atmosferę tego wyjątkowego dnia tak opisywał Świącicki: *Przy wjeździe*

Z dna na powierzchnię wody wylażą gęsto, czasem jedne po drugich wierzchołki kominów lub metalowe wiązania okrętów. Przy moło wyzierają ściany kadłubów

do Wilhelmshaven melduje się gen. Andersowi komendant miasta pułkownik Grudziński. Trochę dalej, na placu utworzonym przez bomby, zastanym gruzami, belkami i szkłem, stoją oddziały 2-go pułku pancernego. Generał Anders odbiera raport, wita się z żołnierzami. Dzień jest, dla odmiany pochmurny i to stanowi także swoisty symbol. Tak zapewne jesienią 1939 roku, gdy skończyła się wspinała i przekłęta wrześnieowa pogoda

musiały wyglądać popisy niemieckiego zwycięstwa w Polsce. Też były gruzy i też stał triumfujący żołnierz... Generał Anders jedzie dalej. Drogę wytyczają polskie, biało-czerwone flagi. Jedna za drugą, długimi szpalerami, przez resztki wszystkich ulic. Nie można ich było umocować na ścianach domów, na balkonach i dachach, śródmieście bowiem Wilhelmshaven nie ma już domów, balkonów, dachów, ścian. Flagi powiewają więc na małych masztach, wbitych w chodniki uliczne.

Biało-czerwoną flagę i godło z orłem białym umieszczono też na wieży ciśnień, dzięki czemu polskie barwy narodowe górowały nad całą okolicą. Bez „litości” potraktowano natomiast jedną ze zdobycznych flag niemieckich, na co zwrócono uwagę w raporcie „Polski Walczącej”: *Przejdźcie do wielkiej sali w gmachu dowództwa marynarki niemieckiej, gdzie drugi pułk pancerny podejmuje generała Andersa obiadem, prowadzi przez mały przedsionek. Kwadrat podłogi przedsionka zastąpiła całkowicie flaga hitlerowska. Każdy, kto wchodzi do sali, musi przekroczyć tę flagę i musi ją podeptać. Nawet, gdyby nie chciał. Ale my chcemy! Uczucia nasze, właśnie w tym byłym niemieckim dowództwie, domagają się satysfakcji, żądają drobnego chociażby zadośćuczynienia za wszystko, za wszystko co było. Zdeptana, zbrudzona pyłem nóg flaga jest pierwszym symbolem sprawiedliwości.*

Po zdobyciu Wilhelmshaven na cześć Polaków wiwatowano, urządzano uroczystości i defilady, organizowano uczty, a w kwaterach dowództwa strzelano korkami od szampanów. Cóż z tego, skoro smak zwycięstwa z Niemcami był dla nas wyjątkowo gorzki. Szybko okazało się, że świat nie potrzebuje już polskiego bohaterstwa... ■



FOT. BUNDESARCHIV

TEKST | Piotr Korczyński

Orły w koronie pod Reichstagiem

Koniec II wojny światowej przynosił Polsce wyzwolenie od okrutnej i niszczącej okupacji niemieckiej, ale bez upragnionej wolności – nasz kraj znalazł się pod „butem i bagnetem” Armii Czerwonej i NKWD. Mimo to żołnierze polscy nie zaniechali walki na frontach, a biało-czerwone sztandary znaczyły szlaki zwycięstwa – zarówno na zachodzie, jak i wschodzie.

Wiosną 1945 roku koniec „tyśiącletniej” III Rzeszy był przesądzony. Jednak stojący nad przepaścią bezwarunkowej kapitulacji Hitler i jego przybocznicy nie zamierzali się poddawać, licząc dosłownie na cud, czyli Wunderwaffe. Także armia niemiecka, mimo klęsk, łatwo nie oddawała swych pozycji, zwłaszcza że walczyła już głównie na swojej ziemi, atakowana ze wszystkich stron.

Na froncie zachodnim w ciężkim, ale jednocześnie zwycięskim marszu sprzymierzonych odznaczali się sukcesami żołnierze Polskich Sił Zbrojnych. We Włoszech 2. Korpus Polski gen. Władysława Andersa kończył

swój szlak bojowy zdobyciem Bolonii w kwietniu 1945 roku. Sławna z rajdu przez Francję, Holandię i Belgię 1. Dywizja Pancerna generała Stanisława Maczka równie spektakularnie zajmowała kolejne miejscowości w Niemczech, by na początku maja zawiesić biało-czerwony sztandar nad jedną z głównych baz i portów Kriegsmarine – Wilhelmshaven. Nie można tu też zapomnieć o polskich lotnikach i marynarzach, którzy do samego końca wojny aktywnie walczyli w bataliach na Atlantyku i niemieckim niebie.

Nie zabrakło również polskich żołnierzy na froncie wschodnim, którzy swymi działaniami objął stolicę III Rzeszy – Berlin. W operacji berliń-

skiej Armii Czerwonej walczyły 1. i 2. Armia Wojska Polskiego i były to boje niezwykle krwawe i dramatyczne. Od połowy kwietnia 1945 roku w forsowaniu Odry, Nysy Łużyckiej i dalszym posuwaniu się w kierunku Berlina, a także Pragi ginęło tysiące polskich żołnierzy. Wielu z nich miało akowską przeszłość (nieprzypadkowo mówiło się, że krwawa bitwa pod Budziszynem 2. Armii, to druga po Powstaniu Warszawskim tragedia polskiej młodości sprokurowana przez sowieckie naczelnictwo). Obecnie podkreśla się, że polscy żołnierze do szturmowania Berlina dopuszczeni zostali z woli Stalina, który w ten sposób pragnął w oczach Polaków uwierzytelnić komunistycz-

ne rządy w Warszawie. To oczywiście prawda, ale trzeba pamiętać, że zatknięcie biało-czerwonego sztandaru w ruinach III Rzeszy niewątpliwie zgodne było z polską racją stanu. Polscy żołnierze otrzymali szansę rewanżu w samym sercu III Rzeszy i zaznaczenia obecności wojska, które z Niemcami walczyło wytrwale i najdłużej ze wszystkich armii koalicji antyhitlerowskiej.

oblegającym Berlin brakowało piechoty, która w walkach ulicznych ubezpiecza atak broni pancernej. Dlatego też decyzję o przysłaniu im 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki przyjęli z niekłamaną radością.

Zresztą kościuszkowcy nie byli jedynymi i pierwszymi polskimi żołnierzami walczącymi bezpośrednio na ulicach Berlina. Palmę pierwszeństwa dzierżyli artylerzyści z 1. Samodzielnej

jednostką, którą od 27 kwietnia włączono do operacji berlińskiej, był 6. Warszawski Samodzielny Zmotoryzowany Batalion Pontonowo-Mostowy. W ataku na Berlin saperzy tego doborowego oddziału zostali podporządkowani sowieckiej 2. Armii Pancernej. Dla niej batalion budował pod nieprzyjacielskim ogniem przeprawy przez Hawelę, Sprewę i liczne kanały Charlottenburga w kierunku centrum Berlina.

Równocześnie z batalionem saperkim do walki skierowano 2. Pomorską Brygadę Artylerii Haubic. Początkowo w całości wspierała ona 2. Armię Pancerną, a od 30 kwietnia część jej pułków przydzielono do wsparcia rodaków z 1. Dywizji Piechoty. Ciężkie haubice brygady ubezpieczały szturmowe drużyny kościuszkowców, prowadząc ogień na wprost. Jednym z jej artylerzystów był warszawiak, wówczas czternastoletni bombardier. Jak wspominał: *Jako warszawiak i były harcerz Szarych Szeregów, byłem dosłownie napompowany faktem, że mogę tu, w Berlinie, pomóc moje miasto!*

Nie można też nie wspomnieć eskadr polskiego lotnictwa, które wzięło udział w operacji berlińskiej. Choć za sterami samolotów z biało-czerwoną szachownicą w większości siedzieli sowieccy piloci, to byli wśród nich i Polacy. Prawdopodobnie jednym z ostatnich żyjących lotników, walczącego wokół Berlina 6. Pułku Lotnictwa Szturmowego, jest płk Kazimierz Dybowski, który tak wspomina swą ostatnią walkę: *W naszym pułku wyglądało to tak, że pilotami szturmowców byli Sowieci, a strzelcami tyłowymi Polacy. Byłem jednym z tych strzelców, a moim pilotem był lejtnant Fiałtow – Ukrainiec spod Kijowa, bardzo porządny facet. Tak więc Ukrainiec z Polakiem z Wołynia tworzyli zgraną załogę szturmowego Il-2 z biało-czerwoną szachownicą na kadłubie, która walczyła w ostatniej batalii frontu*

FOT. BUNDESARCHIV



W pancernym desancie

Dopuszczenie polskich żołnierzy do walki na ulicach Berlina nie miało ze strony Sowietów tylko charakteru propagandowego. Był tu jak najbardziej aspekt militarny i to bardzo istotny. Stolica niemiecka została całkowicie okrążona przez Armię Czerwoną 25 kwietnia 1945 roku, lecz jego załoga nie zamierzała kapitulować. Liczyła ona około 300 tysięcy żołnierzy z różnych rozbitych jednostek regularnych i z Volkssturmu – pospolitego ruszenia cywili. Wbrew pozorom nie był to dla nacierających Sowietów łatwy przeciwnik, bo jego atutem były dobrze przygotowane pozycje obronne w mieście i pancerna fausta, broń szczególnie niebezpieczna dla czołgów, zwłaszcza nacierających ulicami, na których dosłownie z każdej strony może nadlecieć śmiercionośny pocisk kumulacyjny. Sowieckim dowódcom

Trzeba pamiętać, że zatknięcie biało-czerwonego sztandaru w ruinach III Rzeszy niewątpliwie zgodne było z polską racją stanu

Brygady Moździerzy. W szturmie stolicy III Rzeszy wspierała ona sowiecką 47. Armię nacierającą od zachodu przez Spandau i Poczdam. Do najkrwawszych walk brygady doszło 29 kwietnia. Tego dnia na pozycje 47. Armii uderzyli kadeci szkoły oficerskiej SS. Piechota sowiecka nie wytrzymała tego natarcia i esesmanów zatrzymał dopiero ogień polskiego 11. Pułku Moździerzy. Drugą polską

wschodniego – operacji berlińskiej. *Nieży przekładaniec.*

Tiergarten w biało-czerwonych barwach

Parafrazując słowa pułkownika Dybowskiego, w Berlinie Polacy dostali się w piekielny przekładaniec, ale kościuszkowcy istotnie okazali się niezastąpieni w ubezpieczeniu sowieckich czołgów i walkach ulicznych. Do boju na ulicach Berlina 1. Dywizja Piechoty ruszyła 30 kwietnia (tego dnia Adolf Hitler popełnił samobójstwo) i ubezpieczali natarcie sowieckich czołgów wzdłuż linii Tiergarten (stacja kolei miejskiej i park) – Brama Brandenburska – centrum sektora „Z” (Zitadelle), a więc była to jedna z kluczowych pozycji niemieckiej obrony. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu dwóch dni walk w centrum Berlina, Sowieci stracili tu około 200 czołgów!

Gdy zapadła noc, Niemcy podjęli próbę wzmocnienia obrony centrum miasta w iście samobójczy sposób. Mianowicie na park Tiergarten zrzucili z nisko przelatujących samolotów, które jakimś cudem przedarły się przez sowiecki ogień, oddział strzelców spadochronowych. Prócz ludzi zrzucano także zasobniki z bronią i amunicją – ich część spadła na polskie pozycje. Spadochroniarze zostali szybko wybici lub wzięci do niewoli, a o świcie 1 maja kościuszkowcy zobaczyli, że cały park zasłany jest w... polskich barwach narodowych. Okazało się, że spadochroniarze mieli spadochrony koloru białego, a zasobniki zrzucano na spadochronach czerwonych, pierwotnie przeznaczonych do działań arktycznych. Musiało to podnieść na duchu polskich żołnierzy, których czekał dzień krwawych walk.

Tak te chwile wspominał Eugeniusz Skrzypek, wówczas porucznik 3. Pułku Piechoty: *Dobrze pamiętam ten szlak. Z przedmieść Wittenau dotarliśmy do dzielnicy Charlottenburg i tu dostaliśmy zadanie opanowania*

kwartałów miasta w rejonie Englische Strasse, Berliner Strasse, stacji kolejowej Tiergarten, a następnie mostu na Landwehrkanal. To ostatnie zadanie było szczególnie ważne, gdyż w rejonie tego kanału miały spotkać się dwa fronty: białoruski i ukraiński. Za każdą z tych nazw kryją się ciężkie boje uliczne. Kościuszkowcy walczyli dosłownie o każde piętro budynku i o każdy metr ulicy. Tworzył się charakterystyczny dla walk ulicznych schemat: piwnice i pierwsze piętra zajęte przez Polaków, wyższe kondygnacje przez Niemców, w gruzach manewrujące sowieckie czołgi,

Jak wyglądali zwycięzcy? Jak rzeźnicy, obryzgni krwią, umazani błotem, sadzą, w poszarpanych mundurach. Ledwo mogli siebie nawzajem rozpoznać

a wszystko to w ciągłym ogniu i żelazie. Kiedy wreszcie żołnierze 3. Pułku dotarli w rejon mostu na Landwehrkanal, obrona niemiecka okazała się tu tak twarda, że mimo wsparcia sowieckich czołgów (których kilka od razu stanęło w płomieniach) zalegli. Nastąpiła noc i w perspektywie 2 maj rysował się jako dzień jeszcze cięższych walk, lecz szczęśliwie miało się okazać inaczej.

Ostatni akord

W nocy z 1 na 2 maja żołnierze grup szturmowych odpoczywali, by zebrać siły do kolejnego natarcia, ale tego samego nie mogli uczynić łącznościowcy naprawiający zerwane linie i kładący nowe na wyrwanym nieprzyjacielowi terenie. Ich trud został nagrodzony nieoczekiwanie w ten sposób, że jako pierwsi dowiedzieli się

o propozycji rozmów kapitulacyjnych niemieckiej załogi.

Jednym z tych łącznościowców był porucznik Edward Flis z 2. batalionu, także 3. Pułku Piechoty. Jak wspomina, ta noc zastała go w piwnicach zdobytej niemieckiej reduty na Englische Strasse. Układając tu kable nowej linii, natknął się na dwóch sowieckich radiotelegrafistów z uszkodzoną radiostacją. Dla polskiego łącznościowca usterka okazała się banalna i kiedy ją naprawił, nad ranem z radia popłynął nagle komunikat – w języku niemieckim i następnie powtórzony w rosyjskim, który Flis dobrze poznał jako Sybirak, więc natychmiast go sobie przetłumaczył: *Uwaga, uwaga – tu dowództwo obrony Berlina. O godzinie piątej dnia 2 maja do wiaduktu na Charlottenburger Chaussee przy skrzyżowaniu Hoffjägerallee przybędzie delegacja niemiecka z białą flagą celem omówienia warunków kapitulacji Berlina. Prosimy o przerwanie ognia i wysłanie przedstawicieli dowództwa wojsk sowieckich.*

Porucznik Flis wyściskał się z radiotelegrafistami z radości i pobiegł z dobrą nowiną do swego dowódcy, lecz zmęczony kapitan Waclaw Zalewski przyjął rewelację zaskakująco spokojnie i chłodno. Ostudził radość młodego oficera: „To może jeszcze potrwać kilka dni, idź spać”. Na szczęście okazało się, że trwało tylko jeszcze kilka godzin. Oficjalna wiadomość o kapitulacji Berlina dotarła do żołnierzy polskich o siódmej rano, ale to jeszcze nie zakończyło walk, jak słusznie przewidział kapitan Zalewski, trwały one niemal przez cały dzień. Lecz na zdobytych przez Polaków budynkach – na Tiergarten, Politechnice Berlińskiej oraz na Siegestsäule (Kolumnie Zwycięstwa) i Bramie Brandenburskiej – łopotały już od świtu biało-czerwone flagi. Jako pierwsi polski sztandar w Berlinie mieli zawieść żołnierze 7. baterii 1. Pułku Artylerii Lekkiej pod dowództwem podpo-



ruczniaka Mikołaja Troickiego. Byli to zwiadowcy, którzy dotarli do Kolumny Zwycięstwa około trzeciej nad ranem 2 maja.

Porucznik Flis i jego żołnierze rano 2 maja dotarli jako desant na sowieckich czołgach do Bramy Brandenburskiej, mimo że obowiązywało już zawieszenie broni i mijali kolumnę jeńców niemieckich, wciąż było słychać kanonadę i ginęli ludzie. Dosłownie na kilka minut przed zakończeniem walki potknął się o jakieś żelastwo na bruku dowódca 6. kompanii, porucznik Aleksander Woronicki i wpadł prosto pod gąsienice sowieckiego T-34. Nim żołnierze zdążyli ochłonąć po tej tragedii, gdy nagle tuż przed Bramą Brandenburską zaczęły rozrywać się pociski. To dwie Pantery i kilka transporterów opancerzonych starało się wyrwać z okrażonego Reichstagu. Wozy zostały szybko rozbite i w niebo poszły zielone rakiety – umówiony znak dla czerwonoarmistów, że teren został oczyszczony z nieprzyjaciela. Za chwilę z drugiej strony Bramy wyłonili się sowieccy żołnierze i zaczęło się świętowanie. Tak wspominał tę chwilę porucznik Flis: *Dziko wyglądało to wojsko – wymęczone, oberwane i brudne. My też nie byliśmy od nich ani o jotę lepsi czy bardziej cywilizowani. Wojna zruwała wszystkich. (...) Rozejrzałem się wokół. Nad Reichstagem powiewa*

czzerwona flaga. Białoczerwone widzę dwie – na Bramie Brandenburskiej i Kolumnie Zwycięstwa. Wiem także, że białoczerwone flagi zawieszono nad dworcem Tiergarten i na politechnice. Do Reichstagu jest około dwustu metrów. Trudno sobie odmówić satysfakcji, aby choć na moment tam nie wpaść. Obejrzeliśmy kolumnadę i kamienne schody prowadzące do tego gmaszyska. Każdy usiłował znaleźć miejsce na kolumnach czy ścianach i wpisać tam swoje nazwisko, datę i godzinę bytności. Ja też pozostawiłem tam swój ślad, wpisany kawałkiem tynku.

Prócz białoczerwonych sztandarów na znak zwycięstwa, na berlińskich ulicach widoczny był jeszcze jeden wymowny symbol. Wielu żołnierzy miało na czapkach orzelki z koroną przedwojennego Wojska Polskiego. Lecz był w ramach 1. Dywizji Piechoty oddział pod tym względem wyjątkowy, gdyż w 1. Samodzielnej Kompanii Zwiadowczej wszyscy mieli na czapkach orzelki z koroną. Kompanią dowodził były bosmanmat Flotyli Pińskiej, porucznik Konstanty Minuszyc, a jej plutonami byli podoficerowie KOP-u. Jak wspomina podchorąży Janusz Stanisław Kowalski, który do kompanii dołączył jako powstaniec warszawski: *Mieliśmy na czapkach orły z koroną, cała kompania, nikt nam nie zwracał uwagi, bo*

uważano, że zwiadowcom nie można zwrócić uwagi i nie trzeba. Los chciał, że ta właśnie kompania zakończyła polski udział w zdobywaniu Berlina 2 maja 1945 roku. Świętujący tłum (...) – wspomina podchorąży Kowalski – i nagle strzały i w ogromnym pędzie przelatuje koło nas kilka ciężarówek wypełnionych esesmanami walącymi w tłum, to była ostatnia grupa szaleńców z SS, która wyrwała się z Berlina, dosłownie ostrzeliwując nas. Za chwilę goniec przyszedł i mówi: Maszerujcie na Nauen, gonimy ich! Dogoniliśmy ich pod Nauen, tak że w Berlinie byłem bardzo krótko, bo goniliśmy tych esesmanów. Wzięliśmy pod Nauen ponad czterystu, całą grupą się nam poddali. Polskie zwycięstwo!

A jak czuli się polscy zwycięzcy? Radość mieszała się z potwornym zmęczeniem, przez które przebiegało się już niepokojące pytanie, „co dalej”? Inny weteran 1. Dywizji Piechoty, Bolesław Dudziak tak opowiadał o pierwszych chwilach po kapitulacji Berlina: *Jak wyglądali zwycięzcy? Jak rzeźnicy, obryzgni krwią swoją i nieswoją, umazani błotem, sadzą, w poszarpanych mundurach. Ledwo mogli siebie rozpoznać nawzajem. Jeden z nich zaraz po Lenino dowiedział się, w jak okrutny sposób Niemcy wymordowali całą jego rodzinę. Wciąż opowiadał, co robi z Niemcami, jak okrutnie zemści się właśnie na cywilach. To było coś nienormalnego, jak szok. Koledzy bali się o niego. Nie wiedzieli, jak reagować w takiej sytuacji. Siedzieli przy ognisku – oberwańcy, z osmalonymi twarzami, ledwo żywi ze zmęczenia, głodni. Grzali krupnik w kociołku. Pachniało. I wtedy z ruin, z piwnicy wyszły małe dzieci. Żołnierze zamarli. A on wstał, podszedł do kotła, nalał krupniku do menażki i podał dzieciom.* ■

Tekst powstał w oparciu o książkę autora „Piętnaście sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim” oraz zebrane przez niego relacje weteranów.



Pani Anna, o którą upomnieli się stoczniovcy

TEKST | Grzegorz Majchrzak

Rozwiązuję z Obywatelką z dniem 07.08.1980 r. umowę o pracę bez wypowiedzenia z powodu naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych, a w szczególności za nie wykonanie polecenia przełożonych – tej treści wypowiedzenie otrzymała Anna Walentynowicz. Jej wyrzucenie z pracy, tuż przed przejściem przez nią na emeryturę, stało się powodem strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, który rozpoczął się 14 sierpnia 1980 roku.

Jak można byłoby domniemywać po treści przytoczonego pisma, nie zwolniono jakiegoś bumelanta czy obiboka. Decyzja dotyczyła uczciwie pracującej kobiety, którą w ramach represji za działalność opozycyjną próbowano przenieść do innej części stoczni, aby ograniczyć jej „zły” wpływ na pozostałych pracowników.

Trudne dzieciństwo, niełatwa młodość

Anna Walentynowicz urodziła się 29 sierpnia 1929 roku w Równem. Po-

chodziła z rodziny ukraińskiej, co przez wiele lat pozostawało zresztą tajemnicą. Co ciekawe nie odkryła tego nawet „wszechwiedząca” Służba Bezpieczeństwa, która rozpracowywała ją przez kilkanaście lat (1978–1990) – początkowo w ramach sprawy o kryptonimie „Suwnicowa”, a od 1983 roku pod kryptonimem zmienionym na „Emerytka”. Nie miała łatwego dzieciństwa – w wieku 10 lat została osierocona, trafiła pod „opiekę” sąsiadów (kresowych ziemian), którzy – delikatnie rzecz ujmując – nie traktowali jej

najlepiej. Nic zatem dziwnego, że wcześniej – w wieku 16 lat – postanowiła się usamodzielnic i odeszła od swoich opiekunów. Początkowo podejmowała prace dorywcze (m.in. starała się o posadę sprzątaczką w Urzędzie Bezpieczeństwa w Gdańsku, gdzie trafiła w 1945 roku). W 1950 roku została skierowana do pracy w Portowych Zakładach Przemysłu Tłuszczowego i Olejarskiego „Amada” w Gdańsku-Letnicy. Nie pracowała tam jednak długo, po nieco ponad miesiącu udało się jej zdobyć etat w Stoczni

Gdańskiej. Z zakładem tym była związana – z wymuszonymi przerwami – przez ponad 40 lat, do 1991 roku (do 1966 roku na stanowisku spawacza elektrycznego, a potem – ze względów zdrowotnych – operatora urządzeń dźwigowych /suwnicowej/).

Przodowniczka pracy

Początkowo nic nie zapowiadało, że stanie się jedną z najważniejszych, a w każdym razie najbardziej znanych działaczek opozycji. Wręcz przeciwnie

W 1979 roku była jedną z sygnatariuszek Karty Praw Robotniczych, która zawierała program działalności niezależnego ruchu związkowego

– była przodownikiem pracy, wykonała 270 proc. normy, a jej zdjęcie trafiło do lokalnych gazet. Jako wzorowy stoczniowiec, była stawiana za wzór do naśladowania. Zaangażowała się społecznie w działalność, m.in. Związku Młodzieży Polskiej czy Ligi Kobiet Polskich. Była doceniana przez ludową władzę – została odznaczona najpierw Brązowym, a następnie Srebrnym Krzyżem Zasługi. Jednak już w latach 60. – ze względu na swoje odważne publiczne wystąpienia przeciwko wszelkim dostrzeżonym niesprawiedliwościom – podpadła władzom.

W 1968 roku, kiedy starała się wyjaśnić defraudację ze stoczniowego funduszu zapomogowego, podjęto pierwszą próbę zwolnienia jej z pracy – tym razem skończyło się „jedyńie” na przeniesieniu na inny wydział, gdyż w jej obronie stanęli koledzy. W grudniu 1970 roku brała udział

w demonstracjach pod Komitetem Wojewódzkim PZPR w Gdańsku. Z powodu jej zaangażowania w upamiętnianie pomordowanych w grudniu oraz w starania o ukaranie winnych za ich śmierć zainteresowała się nią Służba Bezpieczeństwa – była m.in. zatrzymywana i wzywana na przesłuchania, znalazła się też na liście niespełna dwustu osób ze stoczni wytypowanych do zwolnienia. Przy jej nazwisku zapisano, zresztą na wyrost: „Organizator strajków w grudniu

Członek redakcji „Robotnika Wybrzeża”. W przeszłości systematycznie udostępniała swoje mieszkanie na spotkania o charakterze szkoleniowym z robotnikami niektórych zakładów z Trójmiasta. W chwili obecnej w jej mieszkaniu spotykają się działacze antysocjalistyczni skupieni wokół Wolnych Związków Zawodowych oraz redakcji „Robotnika Wybrzeża”. Do jej zadań ponadto należy informowanie zainteresowanych pracowników stoczni o terminach i miejscach



Anna Walentynowicz i Marian Jurczyk podczas przerwy w posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej Solidarność w Stoczni Gdańskiej, 31 marca 1981 r. FOT. PAP

i styczniu, delegat załogi do rozmów z dyrekcją w dniu 20 V 1971 r.”

W opozycji

Kiedy w połowie 1978 roku dowiedziała się o powstaniu Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża przyszła z pieniędzmi zebranymi w Stoczni Gdańskiej na ich kolejne zebranie, zresztą niepewna czy działacze WZZ przyjmą ją do swojego grona. Oczywiście została, tym bardziej, że nie była dla nich już osobą anonimową. Od tego czasu zaangażowała się w pełni w działalność opozycyjną. Jak potem pisali w jednej z jej charakterystyk „opiekujący się” nią esbecy:

mających się odbyć nielegalnych spotkań oraz kolportowanie nielegalnej literatury w miejscu pracy.

Autorka, kolporterka, organizatorka....

To nie wszystko – Walentynowicz kolportowała nielegalną bibułę i ulotki, współorganizowała kolejne obchody rocznicowe Grudnia '70, w ramach solidarności przychodziła również na rozprawy aresztowanych i zwalnianych kolegów. W 1979 roku była jedną z sygnatariuszek Karty Praw Robotniczych, która zawierała program działalności niezależnego ruchu związkowego. Z czasem zaczęła również pisać na łamach „Robotnika Wybrzeża”, głównie o sytuacji w stoczni (m.in. o niesprawiedliwym podziale premii

czy ciężkich warunkach pracy). Jej zaangażowanie opozycje spowodowało kolejne represje, zarówno ze strony Służby Bezpieczeństwa, jak i jej przełożonych.

„Na celowniku” SB

W przypadku SB pierwszym – często podejmowanym, wręcz standardowym w przypadku działaczy opozycji – krokiem wobec Anny Walentynowicz była próba jej werbunku do współpracy. Miała ona miejsce w grudniu 1978 roku i zakończyła się oczywiście niepowodzeniem. Wobec tego skupiono się na jej rozpracowaniu, stosując standardowe działania – podsłuchiwanie jej rozmów, zatrzymania czy rewizje w jej mieszkaniu. Przez kolejne lata śledzono niemalże każdy jej krok, a także jej wypowiedzi (zarówno te publiczne, jak i prywatne). Była również zatrzymywana – według danych gdańskiej SB tylko w okresie od listopada 1979 roku do kwietnia 1980 roku czterokrotnie. Podejmowano wobec niej również tzw. działania specjalne (nękające). Pod koniec 1979 roku bezpieka podjęła próbę jej kompromitacji – przeprowadzono u niej rewizję w związku z jej rzekomym udziałem w kradzieżach zniczy cmentarnych. Z kolei na terenie stoczni rozsiewano nieprawdziwe plotki o jej alkoholizmie. Była również szykanowana w pracy – zakazano jej schodzenia z suwnicy na przerwę, dawano jej kolejne upomnienia i nagany, pod koniec 1978 roku oddelegowano ją karnie (na cztery miesiące) do „Techmoru”, a w lutym 1980 roku przeniesiono do pracy w magazynie w Stoczni Północnej.

Te wszystkie działania nie przyniosły jednak efektów i zapewne dlatego zdecydowano się w sierpniu 1980 roku na jej zwolnienie. To z kolei spowodowało wybuch strajku. Powrót do pracy Anny Walentynowicz był początkowo – obok podwyżki płac o dwa tysiące złotych oraz dodatku drożyź-

nianego – jedynym postulatem strajkujących. Na żądanie robotników przywieziono ją – samochodem dyrektora – do Stoczni Gdańskiej. Tak potem opisywała ten moment: *Wjeżdżamy do stoczni. Serce podchodzi mi do gardła. Widzę nieprzebrane tłumy. Stoi koparka. Ludzie chcą mnie widzieć. Wdrapuję się na dach koparki. Ktoś podaje mi bukiet róż. Stoję z różami na koparce i widzę morze głów (...). Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. Kręci mi się w głowie.*

W strajkowych władzach

Oczywiście weszła w skład komitetu strajkowego, nie odegrała w nim jednak wiodącej roli – ta była zarezerwowana dla jego przewodniczącego Lecha Wałęsy, który momentami toczył samotny pojedynek z dyrektorem Klemensem Gniechem. Dwa dni po rozpoczęciu strajku – 16 sierpnia po południu, kiedy udało się wynegocjować korzystne dla stoczniowców porozumienie – z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku opuszczała salę BHP, w której toczyły się negocjacje. Okazało się jednak, że to, co członkowie komitetu strajkowego uważali za sukces było dla części strajkujących porażką, wręcz zdradą. W tej sytuacji Walentynowicz nie wahała się i wraz z kilkoma innymi osobami (m.in. Ewą Ossowską i Aliną Pienkowską) podjęła próbę zatrzymania wychodzących ze stoczni robotników. Dzięki temu część z nich zdecydowała się kontynuować protest, a „mały strajk” przekształcił się w „wielki strajk”, w wyniku którego władze zgodziły się na powstanie niezależnych od nich i pracodawców związków zawodowych i we wrześniu 1980 roku powstał NSZZ „Solidarność”. W jego trakcie Walentynowicz weszła w skład kierującego nim Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Była członkiem Prezydium MKS – trzymała m.in. pieczę nad strajkową kasą oraz składkami na pomnik ofiar Grudnia '70

i przyjmowała przybywające do stoczni delegacje z całego kraju. Oczywiście brała też udział w negocjacjach z komisją rządową, m.in. stając w obronie aresztowanych działaczy opozycji, domagając się zniesienia cenzury czy upominając się o zgodę na budowę wspomnianego pomnika, ale też występując w bardziej przyziemnych sprawach (m.in. urlopów macierzyńskich, regulacji w kodeksie pracy czy innych kwestiach pracowniczych).

Nic dziwnego, że kiedy 1 września 1980 roku powstał Międzyzakładowy Komitet Założycielski Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego



Anna Walentynowicz w gdańskim oddziale IPN otrzymała listę pracowników SB, którzy ją inwigilowali, 28 lipca 2002 r. FOT. PAP

(jeszcze bez „Solidarności” w nazwie) weszła w skład jego prezydium. Do jej obowiązków należało pilnowanie związkowych pieniędzy oraz praca w dziale interwencji. Znalazła się też w kierownictwie najpierw Komitetu Założycielskiego, a następnie Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej. Zajmowała się tam finansami, m.in. kontynuowała zbiórkę na budowę pomnika ofiar Grudnia '70.

Był to czas jej największej popularności – jako symbol sierpniowego strajku była zapraszana na spotkania w całej Polsce. Jednak kobieta, za



Wizyta Lecha Wałęsy i Anny Walentynowicz na czele delegacji Solidarności. Kraków październik 1980 r. FOT. PAP

sprawą której „wszystko się zaczęło”, nie zrobiła kariery w związku, do którego powstania tak znacząco się przyczyniła. Powodem tego był jej konflikt z Wałęsą, którego początkiem było opowiedzenie się przez Walentynowicz we wrześniu 1980 roku po stronie tych, którzy chcieli go odwołać ze stanowiska przewodniczącego związku (Krajowej Komisji Porozumiewawczej). Pogłębił się on w grudniu tego roku wokół budowy i nazwy wspomnianego wcześniej pomnika. W efekcie Lech Wałęsa podjął próbę wymuszenia na niej rezygnacji z członkostwa we władzach gdańskiej „Solidarności”, a na dodatek Anna Walentynowicz nie znalazła się – początkowo – w składzie związkowej delegacji, która wyjeżdżała w styczniu 1981 roku do Watykanu na spotkanie z Janem Pawłem II.

„Na celowniku” kolegów ze związku

Jej konflikt z Wałęsą eskalował. W efekcie 1 kwietnia 1981 roku Prezydium Komisji Zakładowej w Stoczni Gdańskiej podjęło decyzję o jej odwołaniu z Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego. Pretekstem do tego było rzekome nawoływanie Walentynowicz w stoczni do sprzeciwu wobec decyzji o odwołaniu strajku generalnego 31 marca. Formalnie po-

Podczas pobytu w Gołdapi usłyszała od „odwiedzającego” ją esbeka, że w przeciwieństwie do Wałęsy nigdy nie będzie jej w encyklopedii

stawiono jej zarzut „niewywiązywania się z obowiązków członka Prezydium” oraz „niegodne reprezentowanie naszego Związku”. W odpowiedzi działacze Prezydium MKZ stwierdzili, że nie mają zamiaru podporządkowywać się decyzji stoczniowych związkowców i Anna Walentynowicz nadal będzie piastować swoje stanowisko. Tym bardziej, że uchwała o jej odwołaniu była niezgodna ze statutem związku. Sprawa stała się zresztą głośna i była omawiana nawet na forum ogólnopolskim, podczas jednego z posiedzeń KKP.

W Gdańsku została powołana specjalna komisja, która nie potwierdziła stawianych jej zarzutów. Problem w tym, że członkowie Komisji Zakładowej podtrzymali swoje stanowisko, a co więcej podczas Walnego Zebrania Delegatów w dniach 25–26 czerwca delegaci na zjazd regionalny podjęli decyzję o odebraniu jej mandatu delegata na I WZD (za opowie-

działo się 308 z 370 głosujących). Mimo tego Walentynowicz wzięła udział w I Krajowym Zjeździe Delegatów, lecz nie jako delegatka, a jedynie w roli gościa I KZD.

Próba otrucia?

W kolejnych miesiącach pozostawała aktywna. To właśnie wtedy – podczas jej pobytu w Radomiu w dniach 21–23 października 1981 roku – przeprowadzono wobec niej kombinację operacyjną, mającą na celu ograniczenie jej mobilności poprzez podanie w odpowiednim momencie środka o nazwie „Furosemidum” przez tajnego współpracownika ps. Karol. Zakładano przy tym, że zaaplikowanie jej tego leku może doprowadzić u niej do odwodnienia, a nawet – potencjalnie – jej śmierci. Do tego jednak nie doszło, zaś Anna Walentynowicz kontynuowała swoją opozycyjną działalność (m.in. wzięła udział w strajku w Stoczni Gdańskiej po wprowadzeniu stanu wojennego).

Została internowana 18 grudnia 1981 roku – najpierw w Fordonie, a potem w Gołdapi. Podczas pobytu w tym drugim ośrodku usłyszała od „odwiedzającego” ją esbeka, że w przeciwieństwie do Wałęsy nigdy nie będzie jej w encyklopedii. Mylił się jednak. Anna Walentynowicz nie zeszła ze swojej drogi – po zwolnieniu z internowania (w dniu 24 lipca 1982 roku) nadal pozostała aktywna (m.in. podejmowała działania w celu uhonorowania zamordowanych górników z kopalni „Wujek” w Katowicach). Nie odgrywała jednak już tak znaczącej roli w opozycji jak wcześniej. Zginęła 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej koło Smoleńska, gdzie leciała, aby uczcić pomordowanych przez Sowietów polskich oficerów w Katyniu. A dziś ma swoje miejsce w jednej encyklopedii... ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



TEKST | Tomasz Skowronek

Leśnicy – ofiary zbrodni katyńskiej

Wraz z wybuchem wojny obronnej w 1939 roku w szeregi Wojska Polskiego wstąpiło liczne grono leśników. Jeszcze więcej z nich włączyło się do walki na późniejszych etapach działań wojennych. Szacuje się, że nawet połowa przedwojennych leśników była zaangażowana w działania wojenne – zarówno na frontach, jak i w strukturach konspiracyjnych.

Niezależnie od miejsca i czasu, w którym podejmowali walkę z agresorem i okupantem, leśnicy byli znakomicie przygotowani do obrony kraju, organizowania sabotażu, a w konsekwencji – do działań na rzecz wyzwolenia ojczyzny.

W 1933 roku dyrektor naczelny Lasów Państwowych Adam Lorent i wiceminister spraw wojskowych gen. dyw.

Tadeusz Kasprzycki podpisali umowę powołującą organizację – Przystosowanie Wojskowe Leśników. Jej celem, poza krzewieniem kultury fizycznej i sportu, było przygotowanie leśników do zadań, jakie mieli mieć powierzone w czasie wojny. Szczególny nacisk położono na przygotowanie bojowe oraz organizację sabotażu na tyłach wroga. Przeszkoleniem objęto

ponad 12 000 leśników i robotników leśnych.

Precyzyjne ustalenie liczby leśników, którzy brali udział w wojnie obronnej 1939 roku i kolejnych latach konfliktu, jest niezwykle trudne, a wręcz niemożliwe. Wszelkie próby oszacowania tych danych obarczone są błędami, wynikającymi z braku całościowych zestawień – takich, któ-



Rodzina zamordowanego w Charkowie oficera rezerwy, leśnika Józefa Libury po powrocie z Syberii FOT. ZE ZBIORÓW MARII MATLACHOWSKIEJ



Władysław Kotuła (w środku) nadleśniczy w dobrach hr. Dzieduszyckiego w Poturyczach-Zarzeczu zginął w Charkowie FOT. Z ARCHIWUM BOGUMIŁY KUKLICZ

rych po prostu nigdy nie sporządzono. Niestety, choć istnieje bardzo wiele wspomnień i relacji, dotyczą one przede wszystkim walk z najeźdźcą

TABELA 1. Leśnicy pomordowani w czasie drugiej wojny światowej | Borczyński 1997

w wojnie obronnej 1939 roku	60
w walkach partyzanckich	220
zamordowanych przez Niemców	1020
w obozach koncentracyjnych	350
w Katyniu i pozostałych obozach sowieckich	120
poza obozami z rąk sowieckich	200
z rąk Ukraińców	80
z rąk komunistycznych władz represyjnych	50
na pozostałych frontach	10

niemieckim. Przekazy odnoszące się do starć z Armią Czerwoną są często nieścisłe, a nierzadko brakuje jakichkolwiek wiarygodnych źródeł. Również ludzka pamięć bywa zawodna, a przeprowadzane po latach ankiety

Czy będziemy mogli kiedyś sporządzić imienną listę wszystkich pomordowanych? Ilu wśród tych dziesiątek tysięcy było leśników?



Leśnik Władysław Muskus, por. rezerwy piechoty z dziećmi FOT. ZE ZBIORÓW PETERA MUSKUSA

w niewielkim stopniu przyczyniają się do określenia poszukiwanych danych.

Jak w tej sytuacji zbliżyć się do poszukiwanych wartości liczbowych? Przyjmując za podstawę wielkość zatrudnienia w Lasach Państwowych i przyjmując szacunkowo zatrudnienie w lasach należących do prywatnych właścicieli Orłoś (1967) w poniższy sposób ustala liczbę leśników biorących udział w wojnie obronnej 1939 roku. – *Jeżeli teraz założymy, że tylko 10 proc. z ogólnej liczby leśników przedwojennych (bez robotników leśnych) brało udział w kampanii wrześniowej, czyli tylko 1 na 10, to otrzymamy w tym zakresie orientacyjną liczbę, wynoszącą powyżej 2000 osób. Operujemy liczbą 10 proc., bowiem większość, zwłaszcza starszych osób, nie mogła być zmobilizowana, gdyż musiała pozostać na straży ogromnego majątku narodowego, jakim są lasy – czytamy.*

W „Almanachu polskich leśników kombatantów” (Borczyński 1997) opartym na 4945 notach biograficznych, które na apel Polskiego Towarzystwa Leśnego, nadesłali leśnicy i ich krewni autor napisał: *W kampanii wrześniowej 1939 r. walczyło około 1300 leśników, z tym, że wielu żołnierzy leśników z kampanii wrześniowej walczyło potem w dalszej fazie drugiej wojny światowej.*

Podobne wyliczenia przedstawiono również na łamach Sylwana (Szymański 1998) szacując liczbę leśników pracujących we wrześniu 1939 roku na 20 000 osób i określając poszukiwane wielkości podobnie jak Henryk Orłoś. Ilu z nich zginęło w czasie drugiej wojny światowej? Na podstawie zebranych i opracowanych ankiet Borczyński (1997) określił straty personelu leśnego na 2110 osób, a okoliczności i liczby zamordowanych przedstawia tabela nr 1.

Nasza obecna wiedza potwierdza, że podane liczby są istotnie zaniżone. Przeprowadzone w ostatnich latach

badania dotyczące deportacji leśników, zamordowanych w Katyniu i innych obozach sowieckich, zamęczonych w obozach koncentracyjnych, a także zgładzonych przez służbę bezpieczeństwa poszerzają dotychczas sporządzone listy zamordowanych.

Wielu z nich dostało się do niewoli, a tysiące – wraz z rodzinami – zostało zesłanych na nieludzką ziemię. Tylko nielicznym udało się przeżyć wojnę. Los wielu zesłańców do dziś pozostaje nieznanym, ponieważ nie powrócili do kraju, a ich ślady zaginęły. Większość uwięzionych na Wschodzie została zamordowana. Z kolei w niemieckich oficerskich obozach jenieckich osadzono blisko trzystu leśników – większości z nich udało się przetrwać wojnę.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja na wschodzie. Polscy oficerowie zostali umieszczeni w trzech specjalnych obozach jenieckich NKWD. Były to obozy w Kozielsku, Starobielsku



Ryc 1. Rozmieszczenie specjalnych obozów jenieckich NKWD i miejsc egzekucji polskich oficerów w 1940 roku na terenie ZSRR | opracowanie własne

TABELA 2. Liczba jeńców w specjalnych obozach NKWD i więzieniach zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy

Specjalny obóz jeniecki NKWD, więzienia	Liczba jeńców i więźniów
Kozielsk	4594
Starobielsk	3894
Ostaszków	6364
Białoruś	3870
Ukraina	3435
Razem	22187

i Ostaszkowie (ryc. 1). Bardzo wielu leśników zostało uwięzionych w więzieniach zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy. Tylko w specjalnych obozach jenieckich NKWD znalazło się około 15 000 obywateli polskich. Los uwięzionych w tych obozach Polaków dokonał się wiosną 1940 roku. Poza jeńcami w wymienionych obozach wielu Polaków trafiło do sowieckich więzień w zachodnich obwodach Bia-

TABELA 3. Liczba pomordowanych leśników spoczywających na poszczególnych cmentarzach | Skowronek 2016

Cmentarz	Liczba pomordowanych leśników
Katyń	69
Charków	60
Miednoje	9
Kijów-Bykownia	33
Kuropaty	22
Razem	193

łorusi i Ukrainy. Ci, którzy trafili do więzień byli, zgodnie z decyzją Biura Politycznego Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), osądzeni i skazywani na karę śmierci za przestępstwa kontrrewolucyjne popełniane przez osoby cywilne oraz „byłych” żołnierzy armii polskiej. Łączna liczba uwięzionych została przedstawiona w tabeli 2.

Podstawowym materiałem do weryfikacji setek relacji o zamordowanych leśnikach są Księgi Cmentarne Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu, Charkowie i Miednoje wydane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, materiały dotyczące Kijowa-Bykowni zawarte na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej, a także lista sporządzona przez Ośrodek Karta na zlecenie Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Wszyscy zostali zamordowani wiosną 1940 roku wraz z ponad 22 000 Polaków. Czy są to kompletne dane? Czy kiedykolwiek znajdą się dokumenty, które jednoznacznie odpowiedzą na to pytanie? Czy będziemy mogli kiedyś sporządzić imienną listę wszystkich pomordowanych? Ilu wśród tych dziesiątków tysięcy było leśników? Nie było im dane przekazać swojej olbrzymiej wiedzy i doświadczenia młodszemu kolegom leśnikom. ■

W piętnastą rocznicę katastrofy smoleńskiej przed siedzibą Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych odbyła się uroczystość przy tablicy pamiątkowej poświęconej śp. Januszowi Krupskiemu, kierownikowi Urzędu w latach 2006–2010.

In memoriam Janusz Krupski

– Był człowiekiem działania i wybrał tę drogę świadomie. Słowo było jego narzędziem walki o wolność i dobro Polski. Praca w Urzędzie była dla Janusza Krupskiego dalszą częścią pracy dla Ojczyzny. Jestem dumny, że możemy kontynuować jego dzieło – powiedział podczas uroczystości szef UdSKIOR Lech Parell. Przypomniął także o ogromnych zasługach Janusza Krupskiego dla wolnej Polski i podziękował za pamięć.

Wspomnieniem o mężu podzieliła się również Joanna Krupska, która podkreśliła, że praca w Urzędzie była dla niego niezmiernie ważna, traktował go jak swój drugi dom. Podziękowała również pracownikom za pielegnowaniu pamięci o życiu i działalności publicznej męża oraz poinformowała o powołaniu fundacji imienia Janusza Krupskiego.

Janusz Krupski urodził się 9 maja 1951 roku w Lublinie. W latach 1970–1975 studiował historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od początku lat 70. działał w opozycji antykomunistycznej i współtworzył podziemny ruch wydawniczy. W 1974 roku wziął udział w sprzeciwie wobec założenia Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich na KUL-u, angażując w to prymasa Stefana Wyszyńskiego. W latach 1977–1988 redagował niezależne pismo „Spotkania”. Za działalność opozycyjną był wielokrotnie represjonowany i szykanowany, m.in. został porwany przez funkcjonariuszy SB pod dowództwem kpt. Grzegorza Piotrowskiego i obłany kwasem. Doznał oparzeń I i II stopnia. W czasie stanu wojennego był internowany. W pierwszej połowie lat 80. został koordynatorem Sekcji Historycznej przy Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim NSZZ „Solidarność”, a później przy Zarządzie Regionu w Gdańsku. W wolnej Polsce był szefem wydawnictwa „Editions Spotkania”, a następnie członkiem kolegium redakcyjnego tygodnika „Spotkania”. Od 1993 do 2000 roku prowadził własne wydawnictwo „Krupski i Kas”. Pełnił też funkcję eksperta nadzwyczajnej sejmowej komi-



FOT. UDSKIOR (2)

sjji do zbadania skutków stanu wojennego w latach 1992–1993 oraz Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej od 1993 do 1995 roku. W latach 2000–2006 sprawował funkcję zastępcy prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. W latach 2006–2010 pełnił funkcję kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Zginął w katastrofie w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku w drodze na uroczystości w Katyniu. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. ■



FOT. FILIP GAŃCZAK

TEKST | Filip Gańczak

Śmiertelny mur

Przez 28 lat był symbolem podziału Niemiec i Europy. Na liście jego ofiar jest dwóch Polaków: Franciszek Piesik i Czesław Kukuczka.

Odziesiątej rano 14 października 2024 roku przed salą 142 Sądu Krajowego w Berlinie czeka już spora grupa dziennikarzy. Prócz Niemców są tu także zagraniczni korespondenci – od Polaków aż po wysłanniczkę „Washington Post”. Trzydzieści pięć lat po upadku muru berlińskiego Manfred N., były oficer Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, odpowiada za morderstwo sprzed pół wieku. Według prokuratury to właśnie on śmiertelnie postrzelił Czesława Kukuczkę, 38-letniego strażaka z południowej Polski.

Po siedmiomiesięcznym procesie sędzia Bernd Miczajka ogłasza wyrok, niewiele niższy niż żądało oskarżenie: dziesięć lat więzienia.

Kraj bez wyjścia

„Nikt nie ma zamiaru wznosić muru” – zarzeka się przywódca Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Walter Ulbricht. Jest 15 czerwca 1961 roku. Niespełna dwa miesiące później drogi prowadzące z NRD do Berlina Zachodniego zostają zablokowane. Początkowo wzdłuż granicy pojawiają się prowizoryczne zasieki z drutu kol-

czastego. Z czasem – wbrew zapewnieniom Ulbrichta – wschodnioniemieckie władze komunistyczne otaczają Berlin Zachodni murem, a w końcu całym systemem barier i zapór. Propaganda mówi o konieczności powstrzymania zachodnich szpiegów i prowokatorów, ale rzeczywisty cel Ulbrichta i jego towarzyszy jest jasny: zatrzymać exodus własnych obywateli i ustabilizować reżim.

Muru strzegą pogranicznicy gotowi strzelać do każdego, kto podejmie się nielegalnego przejścia do Berlina Zachodniego. Już w sierpniu 1961 ro-

ku próbę ucieczki przypłaca życiem troje obywateli NRD. Nim w listopadzie 1989 roku mur upadnie, liczba śmiertelnych ofiar wzrośnie do co najmniej 140. W tym gronie jest dwóch Polaków.

Topielec

Gdy 30 września 1967 roku Franciszek Piesik ostatni raz widzi się w Bydgoszczy ze swą żoną Elżbietą, mówi jej jedynie, że wybiera się do Widu-

Trzydzieści pięć lat po upadku muru berlińskiego Manfred N., były oficer Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, odpowiada za morderstwo sprzed pół wieku



chowej nad Odrą – odwiedzić chorą matkę. Najprawdopodobniej już wówczas nosi się z zamiarem ucieczki na Zachód. W kolejnych dniach bywa u swoich braci Leona i Ryszarda, pracujących na pogłębiarce „Neptun” na Odrze. Na jednym brzegu jest polski

Bielinek, na drugim – Niemiecka Republika Demokratyczna.

W sobotę 14 października Franciszek Piesik znów jest u braci. Zostaje na statku także wówczas, gdy oni po pracy odjeżdżają pociągiem do rodzinnej Widuchowej. Załoga nocuje na koszarce „Matylda”, połączonej z „Neptunem” rurociągiem. Piesik oświadcza jednemu z robotników, że prześpi się

na pogłębiarce. Wkrótce jednak załoga zauważa, że zniknął wraz z łodzią. Nie udaje się go odnaleźć po polskiej stronie. Z nastaniem świtu okazuje się, że łódź jest przycumowana na enerdowskim brzegu.

Wojska Ochrony Pogranicza wszczynają dochodzenie. O sprawie zostaje poinformowana strona wschodnoniemiecka. Piesikowi po dwóch



Upamiętnienie Franciszka Piesika i Czesława Kukuczki w Miejscu Pamięci Mur Berliński (Gedenkstätte Berliner Mauer) FOT. FILIP GAŃCZAK (2)

Czesław Kukuczka, zdjęcie sprzed 1955 r. FOT. FILIP GAŃCZAK



dniach udaje się jednak dotrzeć do Hennigsdorf na północno-wschodnich obrzeżach Berlina. Ma przy sobie kombinerki, a także szkice przebiegu granicy w tym rejonie. Wszystko wskazuje na to, że nigdy wcześniej nie był za granicą. Pracował jednak w żegludze śródlądowej i miał kontakt z kolegami, którzy kanałem Haweli pływali przez NRD do zachodniej Europy. Bardzo prawdopodobne, że rozmowy z nimi zainspirowały go ucieczki tą właśnie drogą.

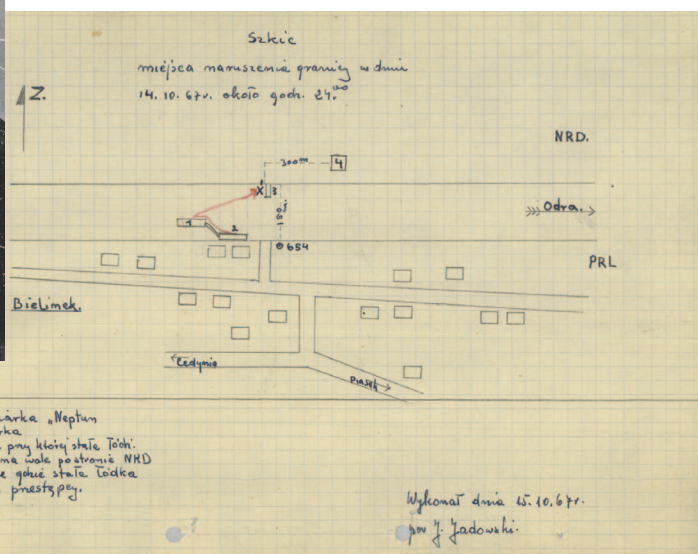
Późnym popołudniem 17 października próbuje nielegalnie przedostać się do wolnego świata – być może do

Essen w RFN, gdzie ma krewnych. Skradzioną łodzią motorową kieruje się na południe kanałem Haweli, mając po lewej stronie bagnisty półwysp, oddzielający kanał od jeziora Nieder Neuendorfer. Można przypuszczać, że chce ominąć półwysp, następnie na jeziorze przekroczyć granicę i dobić do brzegu po stronie zachodnioberlińskiej dzielnicy Heiligensee.

Rzeczy pozostawione przez Franciszka Piesika podczas próby ucieczki do Berlina Zachodniego
FOT. ARCHIWUM IPN



Turniej szachowy w Zawodowej Straży Pożarnej w Bielsku-Białej. Mecz pomiędzy mł. ogn. Czesławem Kukuczką (z lewej) i por. poż. Zbigniewem Pęziółem. Czesław Kukuczka pełnił służbę w ZSP od 1 października 1973 r. W marcu 1974 r. wyjeżdża na wycieczkę do Berlina, gdzie ginie w czasie próby przekroczenia muru berlińskiego
FOT. KOMENDA MIEJSKA PSP W BIELSKU-BIAŁEJ



Szkic miejsca, w którym Franciszek Piesik przedostał się do NRD
FOT. ARCHIWUM IPN

W pewnym momencie zostaje jednak zauważony.

„Wezwany do zatrzymania, (...) wyskoczył z łodzi do wody, pozostawiając (...) garderobę i inne drobne przedmioty” – zapisze później, na podstawie relacji strony wschodnioniemieckiej, oficer WOP. Według innej notatki Piesik dociera do bagnistego półwyspu i to tam – jeszcze po stronie NRD – pozostawia swoje rzeczy. Jezioro musi teraz, wbrew pierwotnym planom, przepłynąć w pław. Do celu jednak nie dociera. Po jedenastu dniach, 28 października, jego ciało zostaje wyłowione z Nieder Neuendorfer po zachodnioberlińskiej stronie granicy.

Służby wschodnioniemieckie informują początkowo władze PRL, że pogranicznicy użyli broni, ale później demontują tę wersję. Sekcja zwłok również nie wykazuje, by Piesik zginął od kuli. Duża ilość szlamu w drogach oddechowych zmarłego sugeruje, że przyczyną śmierci było utonięcie. 24-latek pozostawia żonę i kilkuletnią córkę.

Już po zjednoczeniu Niemiec sprawa przygląda się prokuratura w Berlinie. W 1996 roku rezygnuje jednak z wszczęcia postępowania, bo w śmierci Piesika nie dopatruje się udziału osób trzecich.

Strzał w plecy

W niedzielę 3 marca 1974 roku Czesław Kukuczka powinien jak zwykle stać się w pracy w Bielsku-Białej.

Nie robi tego jednak i nie uprzedza przełożonych ze straży pożarnej o nieobecności. Do dziś nie jest jasne, gdzie przebywa przez następne trzy i pół tygodnia.

Dopiero w piątkowe popołudnie 29 marca zgłasza się do Ambasady PRL przy Unter den Linden w Berlinie Wschodnim. Oświadcza, że w teczce ma ładunek wybuchowy. Grozi, że z pomocą współpracowników wysadzi w powietrze ten i trzy inne budynki w mieście, jeśli do godziny 15.00 nie zostanie mu umożliwiony wyjazd na Zachód. „Z jego tłumaczeń można było wywnioskować, że faktycznie zna się na pirotechnice” – będzie później raportował płk Maksymilian Karnowski, pracownik ambasady i zarazem oficer MSW PRL.

Karnowski fałszywie zapewnia Kukuczkę, że jego ultimatum zostanie spełnione. Gdy tylko oficer znajduje się na osobności, telefonuje do płk. Williego Damma, szefa Wydziału X niesławnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, powszechnie znanego jako Stasi. Damm informuje o sprawie wiceministra bezpieczeństwa Brunona Beatera. Ten decyduje, że w miarę możliwości Kukuczkę należy „unieszkodliwić” poza gmachem ambasady.

Wkrótce w placówce zjawiają się Damm i dwaj inni oficerowie Stasi. Kukuczka otrzymuje dokument podróży wraz z wizą do Berlina Zachodniego. Brakuje tylko fotografii. Kukuczce mówią, że zdjęcie można wykonać w automacie na przejściu granicznym. „Służyło to uspokojeniu sprawcy” – czytamy w późniejszym raporcie Stasi.

Wschodniemieccy oficerowie wiozą Kukuczkę na przejście graniczne Friedrichstraße – do hali odpraw nazywanej przez berlińczyków Pałacem Łez. Na miejscu Polak korzysta jeszcze z toalety. Gdy wychodzi, jego teczka sprawia wrażenie lżejszej, jakby czegoś się pozbył. Podczas odprawy granicznej zostaje potraktowany priorytetowo. Ma prawo wierzyć, że za chwilę znajdzie się w wolnym świecie. Wtedy jednak od tyłu podchodzi do niego mężczyzna w ciemnych okularach i strzela mu w plecy z bliskiej odległości. Wieczorem tego samego dnia Kukuczka umiera w szpitalu więziennym w Berlinie-Hohenschönhausen. Wśród rzeczy, które miał przy sobie, jest pokrywa hydrantu. Materiałów wybuchowych nie ma – Polak blefował.

Świadcami śmiertelnego strzału do Kukuczki są trzy nastoletnie zachodniemieckie uczennice, które akurat wracają ze szkolnej wycieczki do Berlina. O tym, co widziały, pisze wkrótce w RFN poczytny tabloid „Bild”. Później na długie lata zapada w tej

sprawie zupełna cisza. Władze NRD i PRL konsekwentnie milczą. Rodzina zmarłego otrzymuje urnę – i jednoznaczny przekaz, żeby nie stawiać pytań.

Przełom po latach

Szansa na wyjaśnienie tego, co stało się w marcu 1974 roku, pojawia się po upadku muru berlińskiego i otwarciu postkomunistycznych archiwów. Ważny trop daje odnalezienie na przełomie XX i XXI wieku protokołu sekcji zwłok Kukuczki – z dokumentu jednoznacznie wynika, że przyczyną

Podczas odprawy zostaje potraktowany priorytetowo. Ma prawo wierzyć, że za chwilę znajdzie się w wolnym świecie. Wtedy od tyłu podchodzi do niego mężczyzna i strzela mu w plecy

śmierci Polaka był strzał w plecy. Wciąż jednak nie wiadomo, kto pociągnął za spust. Dopiero w ubiegłej dekadzie kolejne odnalezione materiały naprowadzają prokuraturę na nazwisko sprawcy. Kluczowy okazuje się wniosek odznaczeniowy dla Manfreda N. W dokumencie jest mowa o tym, że 29 marca 1974 roku oficer otrzymał osobiste polecenie odparcia „ataku terrorystycznego” na granicę państwową NRD: „Towarzysz porucznik N. wypełnił to zadanie rozważnie, odważnie i zdecydowanie i zdołał unieszkodliwić terrorystę, używając broni palnej”.

Latem 2021 roku na wniosek prokuratury IPN w Poznaniu zostaje wydany Europejski Nakaz Aresztowania Manfreda N. Po przeszło roku sąd

w Dreźnie odmawia ekstradycji, ale śmierć Kukuczki kwalifikuje jako morderstwo, niepodlegające przedawnieniu. Prokuratura w Berlinie wnosi akt oskarżenia.

Proces rusza w marcu 2024 roku. 80-letni N. odpowiada z wolnej stopy. Nie przyznaje się do winy i konsekwentnie odmawia składania wyja-



śnień. Milczy i nie okazuje emocji także wówczas, gdy sędzia Miczajka ogłasza werdykt. Wyrok skazujący nie jest na razie prawomocny, bo N. postanawia się odwołać.

Historia nieudanej ucieczki chłopaka z Widuchowej w roku 2019 trafia na deski teatru. Na Scenie na Łasztowni w Szczecinie odbywa się wówczas premiera „Ballady o Franku Piesiku” Adama Opatowicza. Przypadek Czesława Kukuczki nadal czeka na swego reżysera. ■

Korzystałem z artykułów napisanych wspólnie z dr Magdaleną Dźwigal (o Franciszku Piesiku) i dr. Hansem-Hermannem Hertlem (o Czesławie Kukuczce).

dr Filip Gańczak jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie

W Gniechowicach pod Wrocławiem powstają zdjęcia do międzynarodowej produkcji „Każda z nas” („The Each of Us”) z Diane Kruger w roli głównej. Akcja filmu osadzona jest w realiach obozu koncentracyjnego Ravensbrück, w którym przetrzymywano około 100 tys. kobiet, w tym aż 40 tys. Polek. – *Przypomnienie historii obozu w Ravensbrück jest dziś szczególnie ważne, ponieważ ponownie stoimy w obliczu zagrożenia wojną, a za naszą wschodnią granicą konflikt trwa nieprzerwanie* – mówi Anna Jadowska, jedna z czterech reżyserek filmu.

„Każda z nas”

Podczas realizacji filmu przekonaliśmy się, że wiele osób nie kojarzy Ravensbrück ani jego historii. Losy więźniarek tego obozu są tragiczne, ale jednocześnie pełne heroizmu. Najwięcej osadzonych stanowiły Polki. To właśnie one zostały poddane brutalnym eksperymentom pseudomedycznym, a mimo to – dzięki solidarności całej społeczności obozowej – niemal wszystkie przetrwały do końca wojny. Jak pokazują losy kobiet z Ravensbrück, wojna zawsze niesie traumę – traumę, która przenosi się z pokolenia na pokolenie.

Film opowiada historię czterech kobiet – Niemki, Szwajcarki, Polki i Hiszpanki. Rozgrywa się tuż przed wyzwoleniem obozu. Nie odwołujemy się do prawdziwych losów więźniarek, ale próbujemy przywołać warunki w jakich żyły.

Prace nad koncepcją filmu rozpoczęli Katalończycy i zaprosili nas do współpracy. W Katalonii postacią powszechnie znaną jest Neus Català, zmarła w 2019 roku. Przeżyła obóz w Ravensbrück i wielokrotnie – jako osoba publiczna – zabierała głos na temat swoich doświadczeń.

Producentom, którzy wymyśli ten sposób realizacji zależało na maksymalnej wiarygodności każdej z postaci, dlatego każda reżyserka pracuje



FOT. OLEKSANDR POLIAKOVSKY / WROCLAW.PL (3)

nad bohaterką ze swojego kraju. Kolektywnie musiałyśmy podjąć tylko niektóre decyzje.

Polska i niemiecka część zdjęć została już zrealizowana, przed nami jeszcze zdjęcia wnętrza, które będziemy kręcić w studiu pod Barceloną.

Za scenografię odpowiada hiszpanka Irene Montcada, ze strony polskiej współpracowała z nią polska scenografka Monika Sajko-Gradowska.

Film najprawdopodobniej trafi do kin w 2026 roku.

**Wysłuchała
Katarzyna Zientara-Majewski**





TEKST | Mateusz Wyderka

Adolf Dymśa – aktor teatralny, filmowy i rewiowy, określany mianem króla polskiej komedii. Podczas okupacji pomawiany o zdradę i kolaborację, narażał swoje życie pomagając innym. Po wojnie odtrącony przez część środowiska.

Należał do tych nielicznych aktorów, których wszyscy Polacy chcieli oglądać, i to zarówno na scenie, jak i na ekranie. Widzowie, którzy w kinie czy kabarecie szukali jedynie wesołej, bezpretensjonalnej rozrywki, ale również ci, którzy oczekiwali propozycji nieco bardziej wyszukanych, zaskakujących, ambitnych – opowiadał w swoim „Odeonie” filmoznawca Stanisław Janicki.

Adolf Dymśa to postać w przedwojennej Polsce niebywale wręcz popularna. Talent aktora doceniali nie tylko bywalcy kin i teatrów, pod jego wrażeniem byli zarówno ludzie ze środowiska, jak i tzw. ulica. – Dymśa

jest genialny, bo nie jest podobny do nikogo. Nie przypomina w niczym żadnego z komików europejskich – pisał w „Wiadomościach Literackich” Antoni Słonimski. – Wspaniale wyraził mimiką twarzy przeważnie nieruchomej i zasmuconej, jest niezmiernie wstrzemięźliwa – wszystko to stanowi o rzadkiej dynamice komizmu – wtórował pisarzowi reżyser i krytyk teatralny Bohdan Korzeniewski.

W rzeczywistości nazywał się Adolf Bagiński i przyszedł na świat 7 kwietnia 1900 roku w Warszawie. Jego ojciec był urzędnikiem kolejowym. Dzieciństwo Adolf spędził na Starówce. Pierwsze kontakty z teatrem, wówczas jeszcze jako Bagiński miał jako

siedemnastolatek. Rok później wystąpił w krótkometrażówce „Roztargniony krawiec” (1918). W międzyczasie pracował w kancelarii prawnej i grywał mniejsze epizody w niemych jeszcze filmach. Dorabiał także udzielając lekcji tańca.

W 1920 roku zaciągnął się do Wojska Polskiego. Jako żołnierz 21. Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy” brał udział w bitwie warszawskiej. Pięć lat później – uzyskał angaż do legendarnego kabaretu Qui pro Quo.

Nazywany „Dodkiem” aktor szybko zyskał ogromną popularność. – *Gdyby urodził się w Ameryce zapędziłby w kozi róg Chaplina, i razem wziętych – komplementował artystę poeta i au-*

tor tekstów Marian Hemar. Dymśza występował jako aktor rewiowy, kabaretowy, wykonywał skecze, śpiewał piosenki. Do września 1939 roku wystąpił w ponad 20 filmach.

– *Obdarzony wszechstronnym talentem aktorskim (ale nie tylko) zaczął swoją karierę w teatryku Qui Pro Quo. Porywał widzów w kabarecie, teatrze i filmie. Ogromnie popularny był jednocześnie niezwykle życzliwy i skromny* – ocenił Roman Dziewoński, autor książki „Dodek Dymśza”.

Artysta łączył ludzi w podziwie dla swojego talentu. Kiedy jednak w 1940 roku Związek Artystów Scen Polskich wydał polskim aktorom zakaz występu w tzw. jawnych, działających pod egidą okupanta teatrach, a Dymśza się do niego nie zastosował, sytuacja zaczęła się zmieniać. – *Okupacja ciężko Go doświadczyła, co znalazło odbicie w pomówieniach i niesprawiedliwych osądach* – dodał Dziewoński.

Aktor musiał się zastanowić, co zrobić ze swoją popularnością – w tym momencie stała się ona dla niego jednocześnie szansą i problemem. Zdarzały się bowiem sytuacje, gdy mijający Dymśzę gestapowcy i esesmani rozpoznawali go i serdecznie ściskali w uznaniu dla jego talentu. Wszystko to działo się na ulicy, publicznie, budząc konsternację wśród polskich przechodniów. Dodek zdawał sobie sprawę, jak to wygląda, ale jak zwierzał się znajomym – nie mógł przecież zacząć uciekać.

Początkowo nie przyjmował niemieckich propozycji i starał się nie angażować, pracując m.in. jako kelner. Do zmiany decyzji skłoniła go jednak trudna sytuacja materialna rodziny, pogrążona w depresji po samobójczej śmierci matki żona oraz dwie córki chore na ciężkie zapalenie płuc. Warto dodać, że w latach 30. Dymśza stracił trójkę dzieci, co było dla niego traumatycznym przeżyciem. Jak sam później wspominał, kolejna odmowa oznaczałaby wywiezienie do Niemiec, co

dla jego rodziny mogłoby mieć tragiczne konsekwencje.

Przed podjęciem decyzji skonsultował się ze Stefanem Jaraczem, który miał mu poradzić, by robił to, na czym zna się najlepiej, i dawał ludziom odrobinę radości. Dymśza posłuchał tej rady. Decyzja ta wiązała się jednak ze złamaniem zakazu ZASP-u, który ogłosił bojkot niemieckich kin i teatrów – Polacy mogli występować oficjalnie jedynie w kawiarniach.

Za wyłamanie się z bojkotu, kierownictwo podziemia skazało go na karę nagany, a wielu ludzi zaczęło o nim myśleć w kategoriach zdrajcy i kolaboranta. Nie wiedzieli bowiem, że aktor wykorzystywał swoje występy, nawiązane kontakty oraz zarobio-

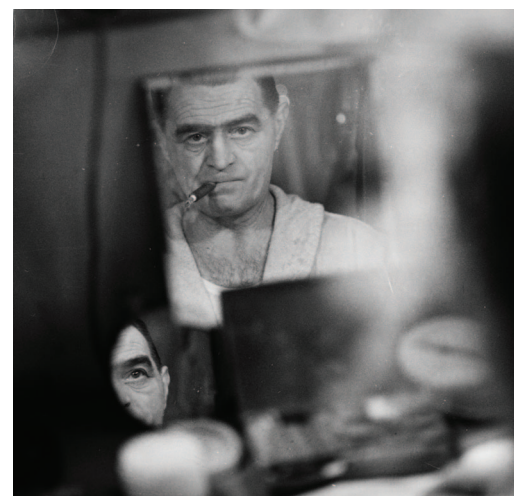
Potrafił skutecznie pomóc aresztowanym przez Niemców kolegom – nawet za cenę posądzenia o kolaborację z okupantem. Nie chwalił się tym, nie tłumaczył

ne pieniądze do niesienia pomocy innym. – *Potrafił skutecznie pomóc aresztowanym przez Niemców kolegom – nawet za cenę posądzenia o kolaborację z okupantem. Nie chwalił się tym, nie tłumaczył. W efekcie ulica go potępiała, a fakty przegrywały z plotkami* – zauważył Remigiusz Piotrowski, autor książki „Artyści w okupowanej Polsce. Zdrady, triumfy, dramaty”. Odium, jakie spadło na Dymśzę, odbiło się na jego psychice. Ludzie, którzy jeszcze niedawno chętnie ogryzewali się w blasku jego sławy, teraz nie chcieli podać mu ręki.

– *Artysta zdradził nielicznym kolegom, że odrzucił korzystną finansowo*

oferę niemieckiego reżysera Uciłky'ego, który przybył do Berlina (była to inicjatywa Goebbelsa). Ten nakłaniał go do udziału w filmie przedstawiającym przeżycia niemieckich osadników prześladowanych przez Polaków na Wołyniu. Wcześniej aktor odmówił występów w teatrze prowadzonym przez kolaborującego z Niemcami Igo Syma – czytamy w książce „Śmiech przez łzy. Opowieść o Adolfie Dymśzy, Dodku”, autorstwa Zuzanny Szydłowskiej i Elżbiety Draczyńskiej.

Chodzi o słynny film propagandowy „Heimkehr” (1941), do udziału w którym kompletującemu obsadę kolaborantowi Igo Symowi, udało się namówić kilkoro polskich aktorów. Dymśzy nie namówił, choć pozyska-



W garderobie Teatru Syrena FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

nie takiego nazwiska byłoby jego największym sukcesem. Aktor nigdy nie wystąpił w sztuce, ani też filmie o antypolskim i antysemickim wydźwięku. Za to chętnie pomagał rodakom.

– *Spośród kilkunastu znanych przypadków udzielania pomocy Żydom przez ludzi z branży teatralno-filmowej wspomnę tylko o dwóch. (...) cichym bohaterem był Adolf Dymśza, który nie tylko niósł pomoc materialną kolegom po fachu znajdującym się po drugiej stronie muru getta, lecz także przetrzymywał w swoim otwockim domu (...) Mieczysława Kittaya, założy-*



Drużyna aktorów na stadionie Polonii. Widoczni m.in. Adolf Dymśza z kwiatami, Józef Kempa, Witold Conti, aktor Jerzy Kobusz, Warszawa 1938 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

ciela warszawskiego teatru *Syrena* – podkreślał Bartosz Januszewski, autor książki „Kino pod okupacją. Wojenne losy i postawy polskich filmowców (1939–1945)”.

Wbrew propagowanemu przez podziemie hasłu, że „tylko świnie siedzą w kinie, co bogatsze to w teatrze”, frekwencja w jawnych teatrach była wysoka – sięgająca nawet 80 proc. Publiczność stanowili w większości Polacy, co pokazuje, że tego typu odskocznia od ponurej, okupacyjnej rzeczywistości, wielu osobom była niezwykle potrzebna. W takich miejscach gościli m.in. Andrzej Łapicki, Gustaw Holoubek i Wieńczysław Gliński.

Aktor w swoich występach przemycił niewygodne dla okupanta żarty. Czynił m.in. aluzje do klęski Niemców pod Stalingradem, czy też do nazistowskiego salutu, pokazując z charakterystycznie uniesioną ręką „dotąd skacze mój pies ze szczęścia, gdy wracam do domu”. Za podobny żart niemiecki satyryk Werner Finck trafił do obozu koncentracyjnego. Dymśza był świadomy ryzyka, jakie podejmuje, chciał jednak dostarczyć rodakom, choć odrobinę rozrywki i swoistej nadziei. Tłumaczył, że kontakty z Niemcami pomagały mu w zdobywaniu informacji dla Kedywu. Wiele ryzykując załatwił kupno broni dla podziemia, wyciągnął z więzienia aktora Czesława Skoniecznego oraz inspicjenta Józefa Porębskiego. Szczególnie warto zwrócić uwagę na

wydostanie Skoniecznego, którego więziono w siedzibie Gestapo przy Alei Szucha. Dymśza wykorzystał wówczas swoją popularność, zdając sobie jednocześnie sprawę, że przez nieznaną kontekstu osoby, tego typu zachowania mogą zostać źle zrozumiane. Mimo tego nie odmawiał pomocy. – *Nie zapomnę tego wieczoru, gdy Dodek wrócił z alei Szucha. Trudno go było poznać!* – przywoływał słowa Tymoteusza Ortyma Roman Dziewoński. – *Zestarzał się w ciągu kilku godzin. Błada twarz. W oczach łzy. „Jestem skończony! Jak ja się tam wyglądałem. Dowcipkowałem, tańczyłem. Dla nich! Dla gestapowców! Wracając z trzeciego piętra widziało mnie moc osób, widziało jak odprowadzają mnie umundurowani gestapowcy, przeważnie Ślązacy, roześmiani, żartujący ze mną. Co pomyśla o mnie ludzie?” (...)* i *Dymśza się rozplakał – czytamy w „Śmiech przez łzy”.*

Aktor ukrywał Tadeusza Sygietyńskiego, wyprosił zwolnienie z Pawiaka Miry Zimińskiej. Brał również udział w tajnych koncertach charytatywnych dla polskich żołnierzy, inwalidów wojennych. Przygotowywał paczki żywnościowe dla artystów przebywających w getcie. Ryzykował życiem ukrywając wspomnianego wcześniej Mieczysława Kittaya. – *W najcięższym*

okresie mojego życia, gdy nocując w niewykończonych domach lub ruinach, byłem w skrajnej rozpacz, spotkałem pana Adolfa Dymśzę, który się mną natychmiast niezwykle serdecznie zaopiekował. (...) ukrywał mnie przez sześć miesięcy. Przez cały ten okres pan Dymśza pielegnował mnie i traktował jak najukochańszego członka rodziny, otaczając mnie z całego serca jak najtroskliwszą opieką – wspominał Kittay.

Zarobione w jawnych teatrach pieniądze przeznaczał również na konspiracyjny sport, którego był entuzjastą i czynnym uczestnikiem. Był sponsorem Polonii w latach wojennych, przed wojną grywał jako pomocnik w rezerwowej drużynie Polonii, a podczas okupacji finansował zakupy sprzętu piłkarskiego Czarnych Koszul.

Trudno zignorować te wszystkie fakty. W ich świetle zarzut kolaboracji wydaje się nie tylko poważnym nieporozumieniem, ale wręcz przejawem złej woli oceniających. Powojenna komisja weryfikacyjna miała jednak zupełnie inne zdanie. ZASP wydalili artystę ze swoich szeregów, zezwalając na jego powrót dopiero po trzech latach. Dla Dymśzy oznaczało to trzyletni zakaz wykonywania jedyne go zawodu, jaki znał. Aktor odwołał się od wyroku i co prawda został oczyszczony z zarzutu zdrady, ale 27 lipca 1948 roku zawieszono go w prawach aktorskich, a ponadto do końca 1945 roku na afiszach jego pseudonim miał być zastępowany trzema gwiazdkami, nakładając jednocześnie na Dymśzę obowiązek przekazywania 15 proc. dochodów na cele charytatywne Związku. – *Są to metody, których nie wahałbym się nazwać terrorystycznymi* – ocenił Stefan Jaracz.

Po okresie banicji Dymśza wrócił do zawodu, jego popularność odżyła, choć nie w takim stopniu, jak przed wojną. Zmarł w domu opieki w Górze Kalwarii, 20 sierpnia 1975 roku. ■



IN MEMORIA DEI SOLDATI DEL 2° CORPO D'ARMATA POLACCO
LIBERATORI DI BOLOGNA

A NOME DI TUTTA LA POPOLAZIONE DELLA CITTA' SALUTO LE TRUPE
LIBERATRICI POLACHE CHE PER PRIME SONG ENTRATE IN BOLOGNA
ALL'ALBA DI QUESTA GRANDE GIORNATA

IL SINDACO GIUSEPPE DOZZA, 21 APRILE 1945

NELL'80° ANNIVERSARIO DI QUEGLI EVENTI
"IL COMUNE DI BOLOGNA
LE AUTORITA' DELLA REPUBBLICA DI POLONIA
LE FAMIGLIE DEI SOLDATI DEL 2° CORPO D'ARMATA POLACCO

21 APRILE 2025

PAMIĘCI ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU POLSKIEGO
WYZWOLIENI CI BOLOGNI

W IMIENIU CAŁEJ LUDNOŚCI MIASTA POZDRAWIAM ODDZIAŁY
POLAKÓW-OSWOBODZICIELI,
KTÓRZY PIERWSI WESZLI DO BOLOGNI O ŚWIECIE TEGO WIELKIEGO DNIA
PREZYDENT MIASTA GIUSEPPE DOZZA, 21 KWIEŹNIA 1945 ROKU

W OSIEMDZIESIĄTĄ ROCZNICZĘ TEGO WYDARZENIA
URZĄD MIASTA BOLOGNI
WŁADZE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
RODZINY ŻOŁNIERZY 2. KORPUSU POLSKIEGO

21 KWIEŹNIA 2025 ROKU



Major Władysław Dąbrowski przy grobie płk. Zbigniewa Kiedacza, dowódcy 15. Pułku Ułanów Poznańskich na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bolonii, 25 kwietnia 2025 r.

Główne uroczystości odbyły się w Bolonii. Na Piazza Nettuno, w historycznym centrum miasta, polska delegacja odsłoniła tablicę upamiętniającą żołnierzy 2. Korpusu Polskiego. Złożono także kwiaty przed tablicą przy Porta di Strada Maggiore, a na Polskim Cmentarzu Wojennym odprawiono mszę za żyjących i poległych żołnierzy 2 KP. Delegacja upamiętniła również inne miejsca ostatniej batalii 2 KP – m.in. Imolę, Castel San Pietro Terme i Castenaso, gdzie odsłonięto tablicę poświęconą Pułkowi Ułanów Karpaccich.

Uroczystość na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bolonii, od prawej siedzą: marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, mjr Władysław Dąbrowski, szef UdSKiOR Lech Parell, kpt. Krzysztof Flizak i szef polskiej placówki dyplomatycznej we Włoszech Ryszard Schnepf, 25 kwietnia 2025 r.

80. rocznica wyzwolenia Bolonii Viva Polonia, Viva Polaki, Viva liberatori!

Weterani 2. Korpusu Polskiego wraz z delegacją na czele z szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lechem Parellem i zastępcą szefa Urzędu Michałem Syską wzięli udział w uroczystościach upamiętniających wyzwolenie Bolonii. 21 kwietnia 1945 roku do miasta wkroczyli polscy żołnierze owacyjnie witani przez miejscową ludność, która do dziś pamięta i dziękuje nam za odzyskaną wolność.



FOT. BARBARA JAMROCHA / UDSKIOR (5)